



N<sup>o</sup> 398.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół

Warszawa, 11 maja 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.  
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Zamek w Międzybożu (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Karol Malcz (z drzeworytem). — Miasto Pułtusk (z drzeworytem). — Kaplica św. krzyża w katedrze krakowskiej (drzeworyt). — Kronika zagraniczna. — Przegląd piśmienniczy. — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Szkice z życia warszawskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Przegląd malarski. — Listy z wystawy paryskiej. — Życie za życie (powieść pani Waleryi Morzkowskiej), dalszy ciąg. — Płacz sieroty (poezya). — Przegląd teatralny. — Korespondencya od redakcyi. — Helena, powieść T. T. Jeża (dalszy ciąg).

## Kronika tygodniowa.

Zdawałoby się, że muzyce koncertowej trudno jakoś przychodzi rozłączyć się z Warszawą; walczy ona ze słońcem i coraz bardziej rozrastającą się zielonością.

Wprawdzie słońce nie było dotąd dla niej bardzo

steczki z zielonego papieru, używanego do robienia sztucznych kwiatów, lub oskubywać doniczki pokojowe. Przewidujemy czas, w którym będzie trzeba za pomocą słońca elektrycznego naśladować upały letnie, a w czerwcu i lipcu urządzać kaloryfery po ulicach, żeby choć raz przecie w roku nastąpiła pora noszenia letniej odzieży. Może to natura, zastraszona ciągłymi postępami nauki, cofa się przed nią, pozostawiając jej pieczę najdogodniejsze-

ce, przerywane, i znów powtarzające się kilkakrotnie, które z największą siłą wybuchły przy pojawieniu się na estradzie Królikowskiego, powstającego z długiej choroby. Królikowski mówił „Ojca zadumionych” Juliusza Słowackiego. Komuż nieznanym jest ten cudny poemat, do którego barw ognistych poeta nasz pożytył od gorącej fantazyi wschodniej? Ta rozpacz ojca, z taką prawdą opisana, ta postać osamotnionego wśród pustyni Araba, dająca



ZAMEK W MIĘDZYBOŻU. (Podług szkicu Wacława Cuiopickiego). Zobacz artykuł w Nrze 382 Tygodnika Ilustrowanego.

niebezpiecznym rywalem. Już od kilku lat nie możemy, dla braku ciepła, odbywać zwykłych majówek, które w pierwszych dniach miesiąca Maryi wywabiają po za rogatki mieszczan żadnych stapania po trawie i napawania się rozkosznym aromatem zbóż podrastających. Wszystko się teraz opóźnia, z każdym rokiem wiosna dłużej każe na siebie czekać; kwiecień jeszcze jest zimą, a maj nawet grozi śniegami. Grający w zielone muszą z rozpaczą wykrawać li-

go urządzania pór roku....

W każdym razie to twierdzić można, że w zeszłą niedzielę prawdziwy upał panował w sali resursy Obywatelskiej, podczas odbywania się tam dawno zapowiedzianego poranku. A dwa złożyły się na to powody, raz liczne zebranie publiczności, tak liczne, że oddawna nie pamiętamy koncertu któryby tyle naraz zgromadził słuchaczy; powtórę gorące przyjęcie, zapal, oklaski przez kilka minut trwają-

się chyba porównać z posagiem Niobe starożytnej, w czytaniu już dreszczem przejmując, a cóż dopiero kiedy do niej dodamy głos artysty, w samej swojej mierze tak dźwięczny, tak wyrazisty, że w najodleglejszym nawet zakątku sali żadne słowo nie ginie, umiejętnie a cudnie stopniowane modulacje dykcji i rzewność tak przenikająca, że przy wypowiedzeniu niektórych ustępów najobojetniejszym nawet słuchaczom łzy stawały w oczach.



Otóż taki wyjątkowy talent jak Królikowski ma to do siebie, że nietylko już znawcy sztuki widzą jego wyższość niezaprzeczoną, lecz ogół cały znajduje się pod wrażeniem, z którego sprawy sobie zdać nie może. Każdy tłum oddech w pierśiach, żeby nie uronić ani jednego dźwięku z tej uroczej muzyki, która rozbrzmiewa po sali, znajdując odgłos we wszystkich sercach i przekonywając do jakiej potęgi dojść może słowo ludzkie, jeżeli prawdziwy talent potrafi nim całkowicie ovladnąć i nagiąć je do woli swojej.

O muzycznej części koncertu nie wspominamy, pozostawiając ten obowiązek właściwemu sprawozdawcy, ale deklamacja stanowiła tu bardzo ważną, bogdaj czy nie najważniejszą (i słusznie, ze względu na cel koncertu) część programu.

Po Królikowskim wystąpiła panna Palińska, powitana również hucznymi oklaskami.

Wybrała ona sobie do wypowiedzenia *Szczęście* kobiety Gabryeli. Głos panny Palińskiej odznacza się pięknnością i dźwięcznością i rzadko która artystka posiada tak sympatyczny organ głosu. Dykcja jej piękna, poprawna, wyrazista, a wszystko to są przymioty, które przyzwyczailiśmy się oddawać w niej oceniać. Czasami tylko daje się ona zanadto unosić zapałowi, mniej dbając o miarę, szafując siłą w którą tak hojnie ją uposażyła natura, i samą już nagromadzeniem efektów osłabiając ich doniosłość. Piękny wiersz Gabryeli, wypowiedziany przez nią, zajaśniał w całym blasku, uwydatnił się, rozpromienił. Niestety! poezja sama nie dla każdego jest dostępna, ale poezja wypowiedziana przez artystę umiającego ją odczuć i uwydatnić, trafia do każdej duszy, staje się jasną jak słońce, wszystkie jej piękności wychodzą na światło dzienne i to właśnie jest najwyższym przymiotem deklamatora wypowiadającego ją słuchaczom.

Pan Rychter mówił ostatni, a umiętny uczynił on wybór, odczytał bowiem „*Improwizacya waryata*“ Wasilewskiego. Zaczął zaś od wybornie do okoliczności zastosowanego wstępu, napisanego przez Floryana, który tu w wyjątku przytaczamy. Wspomniałszy o trudnościach deklamacyi w obec licznej gromady słuchaczy, autor wstępu tak zakończył:

Jasne słowo to nie woda,  
Nim popłynie na świat Boży,  
Gorzką prawdę czasem poda;  
Później gniewy, dąsy, sromy...  
I co dalej idzie za tem,  
Za wiarszyka sens znikomy  
Deklamator jest waryatem!  
Takie miano kogóż nęci?  
Każdy przyzna, rzecz niemiła,  
A zostanie wam w pamięci,  
Jak ta prawda, co dzwoniła  
Z gorączkowych ust waryata,  
Co szaleńcem jest dla świata,  
Lecz dla prawdy jest kapłanem!  
Więc nie gardźcie takim mianem,  
I nie gardźcie słów oddźwiękiem,  
Co się skarży bólu jękiem,  
I słuchajcie, jak do świata  
Rwie się z piersi burzą wrzając,  
Niby potok gór huczący,  
Improwizacya waryata!

Sama *Improwizacya waryata*, jest to utwór dziki trochę, namiętny, bezładny, zastosowany do tytułu. Forma w nim kapryśna, fantazyjna, trudna do wypowiedzenia, potrzebuje takiego artysty jak pan Rychter, żeby ją umiętnie do deklamacyi nagiąć potrafił. Te słowa rwące się niesfornym potokiem, zyskiwały niewypowiedzianą harmonią, przechodząc przez jego usta. Głos umiał on miarkować tak sztucznie, iż słuchaczowi na myśl nawet nie przychodzi, żeby jakibądź wiersz można w inny sposób aniżeli on wypowiedzieć; forma którą sobie każdy mniej więcej urabia w wyobraźni, uplastycznia się w deklamacyi pana Rychtera, a uplastycznia tak wzorowo, że odczytawszy wiersz przez niego wypowiedziany, mimowolnie przypominamy sobie harmonijną intonacją którą umiał mu nadać i załujemy że już przebrzmiała. Więc też przyjęcie jakiego doznał wynagrodziło mu trud i ofiarę, a takie chwile dla artysty są może jedyną prawdziwą nagrodą za jego pracę i zasługi.

Słynny europejski skrzypek Ole Bull powiększył liczbę znakomości muzycznych bawiących obecnie w Warszawie.

Wkrótce damy czytelnikom pobieżny życiorys tego artysty norweskigo, wraz z portretem, o koncercie zaś jego napisze specjalny sprawozdawca Tygodnika. Do kroniki jednak już tylko wyłącznie należy kilka szczegółów, które poniżej przytaczamy.

Ole Bull dwukrotnie i po kilka lat bawił w Ameryce, gdzie zakupiwszy za sumę 200,000 dolarów ogromny obszar ziemi, w celu rozkolonizowania ubogich norweskich emigrantów, oszukany został haniebnie przez Yankesów i uwikłany w proces, który zagroził mu pochłonięciem całego tak chwalebnie zapracowanego mienia. Wiadomo czem są procesa w Anglii, a w Stanach Zjednoczonych większe jeszcze pociągają za sobą koszta. Trzeba było przybrać kilku adwokatów i zysk z dawanych koncertów obracać na zaspokojenie opłat sądowych. Wtedy to Ole Bull wszedł i wzdłuż przebiegł Amerykę i zawadził nawet o Kalifornię, gdzie go przymna oczekiwała niespodzianka.

Po kilku koncertach w San Francisco, słynny skrzypek, zwiedzając kopalnie złota, uproszony został przez miejscowych, ażeby popróbował szczęścia, czy nie dopisze mu ono w znalezieniu jakiej bryłki kosztownej. Ole Bull opierał się długo, ale silnie nagabany, wziął się nareszcie do rydla, i jakież było jego zadziwienie, kiedy po kilku uderzeniach złoto zabłysnęło przed jego oczami. Rzeczywiście było to długi i piękny łańcuch, wyrobiony z różnokształtnych bryłek w kopalniach znalezionych, skutych sztucznymi ogniwkami, ofiarowany w ten tak miejscowo-charakterystyczny sposób Ole Bullowi przez wielbicieli jego talentu. Łańcuch ten, jako jedną z najdroższych pamiątek, Ole Bull zawsze wozi ze sobą.

Ale ogromne zyski z licznych koncertów, w których po pierwszy raz słynna Patti, podróżująca z Ole Bullem, dała się słyszeć Amerykanom, pochłaniał proces długotrwały, który dopiero w kilka lat ukończony szczęśliwie dla artysty, zwrócił mu zaledwie dziesiątą część summy zakwestyonowanej. Trzeba więc było napowrót wziąć się do pracy i odbudowywać zachwianą fortunę; największym zaś smutkiem przejmowała go nie strata majątku, ale zniweczenie oddawna z miłością w sercu piastowanych filantropijnych zamiarów.

Przytoczymy tu jeszcze jeden fakt z życia Ole Bulla, który maluje dobrze usposobienie tego artysty.

Podczas podróży swoich po Europie, przybywszy do pewnego stołecznego miasta, Ole Bull zaproszony został na wieczór przez jednego z najznakomitszych miejscowych dygnitarzy. Po ukończonej sutęj wieczerzy, pan domu zbliżył się do artysty z prośbą, ażeby zgromadzonym gościom zechciał dać próbę swojego świetnego talentu.

Trzeba tu jeszcze dodać, że umiętnie stopniowanie pianissima stanowi jeden z wyłącznych przymiotów gry Ole Bulla, i wszyscy, chociażby z licznych recenzyj, wiedzą o tej jego specjalności.

Otóż artysta, jednym rzutem oka rozpoznawszy uuzycalne usposobienie osób przed którymi miał się popisywać, nie wahając się długo, wziął skrzypce do ręki i wydobywszy z nich kilka tonów, przeszedł w piano, pianissimo, aż nareszcie ucichł zupełnie, prowadząc jeszcze przez kilkanaście sekund smyczkiem w powietrzu. Rozległy się huczne oklaski i wszyscy obecni z zachwytem rozwodzili się nad tym nieporównanym pianissimo, które rzeczywiście nie mogło być cichsze; artysta zaś, z miną arcyważną, przyjmował te wszystkie pochwały.

Skrzypce na których Ole Bull grywa, pochodzą z fabryki sławnego Gaspara da Sallo, uważanego ogólnie za wynalazcę, a przynajmniej udoskonaliciela tego instrumentu, datują więc od trzystu kilkudziesięciu lat i są jedynym może egzemplarzem tak dobrze zachowanym. W Paryżu ofiarowano za nie Ole Bullowi dwadzieścia tysięcy franków, ale wiadomo że taki instrument nie ma ceny dla koncertanta. Artysta nabył te skrzypce w Niemczech, i sposób w jaki przyszedł do ich własności, jest prawdziwą powieścią. Żałujemy że rozmiary kroniki nie pozwalają nam przytoczyć tego opowiadania, które z własnych ust jego słyszeliśmy. Smy-

czek Ole Bulla, ozdobiony suto kosztownymi dyamentami i tak ciężki, że rzadko który skrzypek zażył go zdoła, jest także darem pamiątkowym.

O wielkim medalu złotym udzielonym Matejce (ilość tych medalów wyznaczona dla najznakomitszych artystów europejskich, razem z francuzkami, wynosi siedemnaście) wiedzą już czytelnicy z doniesień pism publicznych.

Simmler otrzymać ma także medal srebrny.

Niezawodną jest rzeczą że fotografie warszawskie zajmują, jak już o tem donosiliśmy, jedno z pierwszych miejsc na wystawie powszechnej i dwóch a nawet podobno trzech naszych fotografów otrzyma medale.

Korespondentowi który zamieszczony w N. 396-ym szkic Kostrzewskiego uważa za niewłaściwy, jako dotyczący zbyt ważnej i poważnej na karykaturę kwestyi, odpowiadamy że niewłaściwymi daleko są przesadne stroje używane przez niektóre damy na nabożeństwach, że karcić tego rodzaju nadużycia jest obowiązkiem pism publicznych, a śmieszność bywa w takich razach najlepszym i najskuteczniejszym lekarstwem. Tutaj pod postacią żartu surowa mieści się prawda, wiadomo bowiem że są osoby które do pobudek i czynności czysto światowych, pragną domieszywać wyobrażenia religijne, okrywając się niemi jak płaszczykiem i usiłując szukać w nich tłumaczenia dla siebie. Wszelkie poważne napomnienia dziennikarskie na nie się tu nie przydadzą, kiedy nawet wymowne odzywiania się kapłanów z ambony pozostają bez skutku. Powtarzamy, że śmieszność jest chłostą, która umiejętnie użyta, najskuteczniej działa. A zresztą widoczny jest cel artysty, zarówno jak dobrze znana dążność wykazująca się w seryi publikowanych przez niego szkiców; nikt przeto brać nie powinien za ubliżenie służbie Bożej tego, co jest tylko wytknięciem światowej śmieszności.

Wiadomo powszechnie, że ważki stosunkowo przesmyk ładu między zatoką Ghaza morza Śródziemnego, a północnym krańcem morza Czerwonego, na którym leży Suez, staje się powodem, iż towary wysyłane ze wschodniej Azji do Europy i naodwrot, okrążać muszą dwa najdłuższe boki trójkątnego stałego ładu Afryki, jedynie dla braku wodnej komunikacji między Azją i Europą. Przerżnięcie więc tego przesmyku kanałem żeglownym, niezmiernie jest wagi dla handlu Europy z Indiami, Chinami i Australią, skracając drogę o kilka tysięcy mil morskich, a tem samem o wiele zmniejszając koszta.

Olbrzymie to dzieło obecnie w większej już części zostało dokonane, i w tych dniach właśnie, z ust p. Stanisława Janickiego, jednego z inżynierów naczelnie kierujących budową kanału suezkiego, słyszeliśmy nader zajmujące szczegóły o wielkiem tem przedsięwzięciu międzynarodowem. Pan Janicki na czas tylko krótki za urlopem przybył do Warszawy, rodzinnego swego miasta, od lat bowiem kilku przebywając w Egipcie, mieszka teraz stale w Ismailii nad jeziorem Timsah, mniej więcej w punkcie środkowym między morzem Suez. Do tego też miejsca, to jest od Port-Said aż do jeziora Timsah, na przestrzeni około 80 wiorst, kanał morski zupełnie jest ukończony, tak iż wody morza Śródziemnego napełniają już jezioro Timsah. Ztamtąd, aż do Suezu nad morzem Czerwonem, roboty znacznie wprawdzie są posunięte, ale potrzeba będzie około 2 i pół roku, dla nadania tej drugiej połowie kanału morskiego należytej głębokości (8 metrów); tymczasem zaś komunikacya w tej części odbywa się po tak zwanym kanale wody słodkiej, poprowadzonym od jednej z odnóg Nilu, dla zaopatrywania robotników w wodę do picia.

Interesujący bardzo jest opis rozmaitych przyrzędów do wydobywania, czyli, mówiąc technicznie, dragowania ziemi z kanału i uprzątnięcia jej następnie za pomocą reporterów (rodzaj statków), elewatorów, rur olbrzymich i t. p.; dla braku jednak miejsca przytoczyć go tu nie możemy.

Zakończamy pobieżną i wzmiankę życzeniem, ażeby p. Janicki nakłonić się dał do poświęcenia temu ważnemu lecz mało bardzo znanemu u nas



przedsięwzięciu jednego lub dwóch wykładów publicznych, a z pewnością przewidzieć można, że przy darze jasnego i przystępnego wysłownienia się jaki szanowny ziomek nasz posiada, złączonym z doskonałą znajomością traktowanej rzeczy, wykłady te wielkiem cieszyłyby się powodzeniem, stanowiąc dla ogółu słuchaczy przedmiot zarówno ciekawy jak pouczający.

\* \* \*

Trzebaż jednak powiedzieć parę słów o wielkiej walce odbywanej pomiędzy Davenportami magikami amerykańskimi, a p. Faure magikiem francuskim.

Pan Faure każe się także zamykać wszafie, wiązać i strząsa z siebie więzy, a to bez żadnej tajemnicy, w obecności delegowanych na to świadków; przyrzeka nawet doświadczenie to odbyć przy drzwiach otwartych.

Upewniano nas że jakiś chłop galicyjski z pod Nowego Sącza popisywał się także długo z tą samą sztuką i chodząc od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, kazał się wiązać i rozwiązywał przy mnogich widzach.

Trwało to dopóki nie zdarzył się jakiś rzeźnik, który zapragnął sztukmistrza związać po swojemu, twierdząc że wieprzaki i cielaki także ród przemysłny, a kiedy z niemi trafi do końca, więc i z artystą suplowym będzie sobie umiał dać radę. Ale sztukmistrz nie przystał na tę próbę, a to zadało sławie jego i obfitym zyskom cios stanowczy, z którego się już nigdy nie podniósł.

## Przegląd polityki zagranicznej.

10 maja.

Pomimo wszelkich pogłosek o odroczeniu konferencji, pełnomocnicy Anglii, Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Prus, Rosji i Włoch, zebraли się w Londynie w dniu 7 b. m. i przystąpili do obrad nad rozwiązaniem kwestyi luksemburskiej. Przedewszystkiem wzięto pod rozwagę zasadniczą podstawę układów, za taką zaś uznano neutralizację księstwa luksemburskiego, przyczem Anglia oświadczyć miała, iż ze swjej strony odmawia wszelkiego udziału w poręczeniu tej neutralizacji. Na tém ogranicza się depesza londyńska z 8 maja, że zaś innych sprawozdań o pierwszym posiedzeniu konferencji dotąd niema, niepodobna więc nam dokładnie objaśnić ani treści zaszytych rozpraw, ani rezultatu podanego przez telegram. Czy i inne mocarstwa odmówiły, czyli też zgodziły się na poręczenie i czy nastąpić ono może bez udziału Anglii, otóż ważne pytania, na które dziś jeszcze odpowiedzieć trudno. Bądź co bądź, zdaje się że trudności wynikających jak zwykle z toku rozpraw, nie należy uważać za przepowiednię wojny, zewsząd bowiem donoszą że Francja i Prusy szczerze pragną pokoju. Monitor wieczorny z dnia 8 b. m. oświadcza, że Francja w imię idei umiarkowania i bezinteresowności zgodziła się na program przez mocarstwa pośredniczące ułożony, i że cała Europa wdzięczna jęj za to być winna. Dzienniki półurzędowe pruskie także złagodziły ton rozpraw, chociaż pomimo wiary w powodzenie konferencji, nie przestają zaznaczać uzbrojeń Francji. Gazeta kolońska donosi, że rząd francuski powołuje rezerwy z 1866, 65 i 63 roku, że przewozi materiały wojenne do fortec nadgranicznych, zwiększa artylerję o 25 baterij, że w Metz pracują dzień i noc w arsenałach i t. p. Z drugiej strony dzienniki austriackie zapewniają, że Prusacy zaopatrują fortece szlakiem w żywność, zakupują konie i wzmacniają garnizony w Luksemburgu, Moguncji i t. p. twierdząc. Wszystkie te wiadomości, gdyby nawet sprawdziły się, dowodzą tego tylko, że przezorność wymaga od mocarstw, aby przed stanowczem załatwieniem sporu, przygotowane były na wszelki wypadek, przygotowania zaś te żadnego wpływu na rezultat obrad konferencyjnych mieć nie powinny. Depesza z Hagi z dnia 7 b. m. donosi, że deputacja ludności księstwa luksemburskiego, z burmistrzem na czele, udała się do Londynu, celem podania konferencji adresu. Treść adresu nieznana. Drugie posiedzenie konferencji wypadło w dniu 11 b. m. Constitutionnel zapowiada przyjazd wielu monarchów i osób dostojnych do Paryża i dodaje, iż od 1814 r. stolica Francji nie widziała tak świetnego zjazdu w swych murach. W dniu 6

b. m. przybył do Paryża marszałek Bazaine i konferował z cesarzem i marszałkiem Niel.

W obec obradującej w Londynie konferencji, wszystkie inne wiadomości wydają się dziennikom tak małej wagi, iż o niczem innym jak o Luksemburgu rozchodzić się nie chcą. Naturalnym wynikiem takiego stanu rzeczy jest zupełne zaniedbanie sprawozdań o stanie kwestyi wschodniej, reformie wewnętrznej państwa austriackiego, posiedzeniach parlamentu włoskiego i t. p. sprawach ważnych i zajmujących w każdym innym czasie. Zresztą dodając tu wypadki, iż rzeczywiście nie też zbyt ważnego w ostatnich czasach nie było do zaznaczenia. Wspominamy więc tylko o meetingu reformistów, odbytym w dniu 6 maja w Hyde-Parku londyńskim. Rząd angielski, zgadzający się, jak wiadomo, do pewnego stopnia na projekt reformy, nie zabronił zgromadzenia, z obawy jednak aby zbyt liczne tłumy nie dopuściły się naruszenia porządku publicznego, przedsięwziął właściwe środki ostrożności. W tym celu wysłano na miejsce meetingu do 5,000 agentów policyjnych, z zaleceniem aby aresztowano tych tylko którzy wzniecać będą niespokojności. Przewidywania wszakże nie sprawdziły się, depesza bowiem z dnia 6 b. m. donosi, że meeting odbył się jaknajspokojniej, pomimo ogromnej masy ludu przyjmującej w nim udział, i że wojsko wraz z policyją trzymało się na uboczu. Z Nowego Yorku donoszą, że senat uchwalił rezolucję, wnoszącą aby rzeczpospolita amerykańska przyjęła na siebie pośrednictwo w sprawie luksemburskiej i meksykańskiej. Drugim reprezentantem Anglii na konferencji ma być lord Malmesbury. Depesza z zeszłego tygodnia o wybuchu powstania w Hiszpanii nie potwierdziła się.

**Ostatnie depesze. Londyn, 8 maja.** Na wczorajszym posiedzeniu konferencji nie było istotnej różnicy w zdaniu wielkich mocarstw. Posłowie Belgii i Luksemburga nie mieli jeszcze instrukcji, więc odroczone posiedzenie do czwartku. Morning Post twierdzi, że sprawa skończy się w sobotę (dziś).

**Londyn, 9 maja.** Pokojowe załatwienie kwestyi luksemburskiej zapewnione. Księstwo zostanie przy Holandii i będzie zneutralizowane, pod gwarancją mocarstw. Twierdza zostanie zburzoną. Księstwo mieć będzie wojsko własne, dla utrzymania porządku.

**Florencja, 7 maja.** Według projektu reorganizacji armii, uznano że stopa pokojowa Włoch wynosić ma 200,000, wojenna 550,000 ludzi, czyli o 100,000 mniej jak dotąd. (W. T. B. Schles. Ztg. France. Ind. Bel. Jour. d. Deb.).

### Karol Malcz.

Parę miesięcy temu Warszawa straciła znowu jedną z tych typowych, charakterystycznych postaci, których liczba, pod tchnieniem niwelującym tegożesznej oglady, zmniejsza się coraz bardziej w naszym mieście, jak w ogóle na całym podobno świecie. Któż nie znał w Warszawie Karola Malcza? Któż w nim nie cenił nieposzlakowanej zacności obywatelskiej, obok pracy wytrwałej i pożytecznej? Zaprawdę, była to osobistość ciałem i duszą zrosnięta z naszym grodem, osobistość do najpopularniejszych u nas niezawodnie należąca.

Wierni zasadzie podnoszenia i uczczenia prawdziwej zasługi, w jakimkolwiek ją napotkamy zawodzie, dajemy dziś czytelnikom naszym wizerunek ś. p. Malcza, wraz z krótkim rzutem oka na pracowite i pocziwe jego życie.

Karol Filip Malcz urodził się w Warszawie d. 10 sierpnia 1797 r. Ojciec jego Konstanty, doktor medycyny, przeniósł się później na praktykę do miasta Kocka w gubernii lubelskiej, gdzie zjednaawszy sobie jako lekarz imię rozgłosne, umarł, nie pozostawiając czworgu nieletnim swym dzieciom, (trzem synom i córce) żadnego majątku. Z synów najstarszym był Wilhelm, słynny później doktor medycyny, zmarły w Warszawie 1852 r. (\*); drugim, o dwa lata młodszym, Karol; trzecim Konstanty, adwokat przy sądzie apelacyjnym królestwa, zmarły w r. 1839.

Młody Karol miał zaledwo lat osiem, kiedy ojciec go osierocił. Oddany początkowo na naukę do

(\*) Portret jego i życiorys zamieściliśmy w Nr. 30 i 31 naszego pisma.

aptekarsza Plewczyńskiego w Warszawie, po kilkoletniej praktyce rzucił ten zawód, mniej odpowiedni żywemu jego usposobieniu, i wziął się do złotnictwa. Termin, jak dla młodzieńca chowanego dotąd w wygodach, bardzo był ciężki: przyszło nieraz, zakasawszy rękawy, potężnym wywijać młotem, dąć miechem, piłować, dłutować, słowem bez wytchnienia prawie, przez kilkanaście godzin dziennie, molić się w warsztacie. Potrzeba było rzeczywiście wielkiej energii ciała i ducha, aby nie upaść pod brzemieniem pracy fizycznej. Wytrwał jednak Karol i w czasie właściwym wypisał się na czeladnika.

Ale ruchliwe usposobienie jego, połączone z pragnieniem rozszerzenia swjej wiedzy, poznania świata i ludzi, nie pozwalało mu zamknąć się nazawsze w murach rodzinnego miasta. W sierpniu 1818 roku, mając w kalcie podróżnej zaledwo pięć dukatów, z pracy zaoszczędzonych, siadł na berlinkę i Wisłę puścił się do Prus. Odtąd zaczęła się dziewięcioletnia wędrówka jego po Europie, którą odbył bez żadnej znikąd pomocy materyjalnej, na własnych jedynie polegając siłach. Przebiegł całe Niemcy, Austrię, Węgry, Włochy, Francję, Anglię, Holandję, pracując wszędzie po celniejszych warsztatach i chlubnie zyskując sobie świadectwa; aż nareszcie w grudniu 1827 r. przez Niemcy, Wiedeń i Kraków powrócił do Warszawy.

W tej nowożytniej Odysei, wielką dlań pomocą była zadziwiająca łatwość w wyuczaniu się obcych języków, którą zachował aż do śmierci. Wchodząc z powołania swojego w zetknięcie z warstwami ludowymi, znał, oprócz języka książkowego, wszystkie narzecza niemieckie i francuskie; mówił także doskonale po włosku, a języki angielski, węgierski, hiszpański i rosyjski nie były mu obce. Sami nieraz mieliśmy sposobność przekonania się o tej polylotycznej jego zdolności.

Za powrotem do rodzinnego grodu, wykonał w fabryce srebra pani Szwartz wymaganą przepisami sztukę majstrowską, i zapisany do cechu złotniczego, z namowy i przy pomocy brata Wilhelma, wziętego już wtedy lekarza, otworzył w r. 1828 własny sklep i warsztat, pierwotnie w domu Celińskiego na Krakowskim przedmieściu, a w parę lat później w domu własnym (dziś zniesionym) na prost poczty. I Bóg błogosławił pocziwieniu jego pracy, wynagradzając ją świetnym powodzeniem.

Wszystkim mieszkańcom nietylko miasta naszego, ale całego niemal kraju, znany był sklep Malcza, przez lat trzydzieści kilka w jednym istniejący miejscu, nie tak wytworny wprawdzie jak terazniejsze magazyny, ale schludny i porządkowy, w którego oknie zwierciadlanem, otoczonem mosiężną baryerką, najwykwintniejsze wyroby złotnicze, obok najprostszych, wabiły wzrok przechodniów. Otóż w tym skromnym nazewnątrż sklepie krocie się corok przewijały; bo doskonałość wyrobów i ceny umiarkowane zjednały właścicielowi jego zaufanie i rozgłos nietylko w kraju, ale i zagranicą. Każdy potrzebujący nabyć srebrne jakie sprzęty, pragnął to uczynić w sklepie Malcza, do którego firmy przywiązany był jakiś urok wyższości: wiercono że przedmiot tam kupiony i lepszy być musi i stosunkowo nawet tańszy, jak nabyty gdzieindziej.

„Szczęście! ślepe szczęście!“ zawoła niejeden. Prawda, odpowiadamy, że szczęście ważną jest rzeczą w każdym zawodzie, a szczególnie w handlowo-przemysłowym; ale nierównie ważniejszą jest praca, wytrwałość i sumienność, bez których samo szczęście nikomu stałego nie da powodzenia.

Przy szczęściu więc, pracy, wytrwałości i sumienności, ś. p. Malcz ogromnego powoli dorobił się majątku. Nie zaniebdywał też żadnej sposobności ku podniesieniu swego zakładu i wykształceniu się osobiście. Kilkakrotnie wyjeżdżał w tym celu do Paryża, Londynu i Wiednia, a na wystawach przemysłowych w królestwie i cesarstwie wyroby jego niemal zawsze celowały nad innymi, zyskując nagrody i chlubne uznanie. Najwięcej jednak zawdzięczał własnej swej pracy i zdolności; ś. p. Karol bowiem znany był nietylko jako biegły technik, ale także jako artysta. Wszystkie rzeźby zdobiące jego wyroby, wszystkie wzory do cyzelowania i rycia, wszystkie pomysły do nowych kształtów, czyli tak zwanych fasonów, on sam własnoręcznie rysował, i tym sposobem celniejsze roboty jego wychodziły już poza obręb zwykłego złotnictwa, wkraczając w dziedzinę sztuki.



Zostawszy posiadaczem milionowego mienia, nie zmienił jednak w niczem zwykłego sposobu życia. Zawsze skromny w potrzebach, pełen prostoty w obyczajach, wymagania dla siebie bardzo miał małe, a część zbywających dochodów obracać wolał na szlachetne uczynki, na wspieranie tajemne chroniącej się wstydlawie przed okiem ludzkim niedoli. To też niejedno cierpienie złagodził, niejedną łzę otarł pokryjomu, już to na drodze prywatnych poszukiwań, już jako członek gorliwy warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. W obcowaniu z ludźmi ujmującej był szczerości i otwartości; serce, jak to mówią, miał na końcu języka: co myślał, to i mówił, nie czyniąc żadnej różnicy co do osób, równie uprzejmy i przyjacielski dla prostego robotnika, jak dla ludzi z najwyższych klas społecznych, z którymi często wchodził w stosunki. Ztąd nadzwyczajna popularność zmarłego, o której wspomnieliśmy już na wstępie, a która, przy równym zawsze i wesołym jego humorze, przy doskonałej pamięci i bogatej skarbnicy doświadczenia, zaczerpniętej w długim życiu i dalekich podróżach, przestawanie z nim czyniła przyjemnym i nauczającym.

Na kilka lat przed śmiercią, z powodu zamierzonego rozebrania domów na Krakowskim przedmieściu, zmuszony był sklep swój złotniczy przenieść do domu Beyera, na rogu ulicy Królewskiej, gdzie dotąd, pod inną już firmą, istnieje, i wkrótce też zakład ten sprzedał. W roku bieżącym, znękany ciężkimi ciosami majątkowymi i moralnymi, pojechał do Ozorkowa, dla odwiedzenia rodziny żony (Karoliny z Wernerów) i tam d. 15 marca, wskutek napadu astmy (porażenia serca), bez bólów i cierpień, prawie siedząc, oddał Bogu ducha, na rękach żony i jedynego syna. Zwłoki jego, tymczasowo złożone w Ozorkowie, wkrótce przewiezione zostaną do Warszawy, na cmentarz ewangelicki.

Ze zgonem ś. p. Karola wygasła starsza linia zasłużonej oddawna w kraju naszym rodziny Malczów. Po doktorze zostało pięcioro dzieci żyjących; po adwokacie syn Mieczysław (doktor medycyny) i córka niezamężna.

środek przerysowa, nie jest pozbawiony powabnych widoków.

Pod względem dziejowym Pułtusk, odległej sięgając starożytności, obfituje w historyczne wspomnienia.

Była to niegdyś własność biskupów płockich, którzy od niepamiętnych czasów nosili tytuł „ksią-

rzył je prawem chełmińskim 1339 r. Z tem wszystkiem pasterze płocki, obyczajem owych czasów, rządili tu udzielnie jako książęta, gdyż prawo miecza było w ich ręku; dla szlachty zaś okolicznej ustanowione zostały niezależnie od reszty państwa sądy grodzkie, a dla mieszczan burmistrz z rajcami w sprawach cywilnych, wójt z ławnikami w kryminalnych, stosownie do prawodawstwa niemieckiego, wymierzali sprawiedliwość.

Przemieszkujący w Pułtusk biskupi, przyczyniali się do jego wzrostu i dobrobytu mieszkańców, którzy z dawna dość znacznym trudnili się handlem.

Poczynając od XIV stulecia, przez trzy wieki następne, miasto, doznając błędnego pokoju, podziwignęło się z upadku; wszystkie też gmachy będące do dziś dnia jego ozdobą, w tym właśnie czasie stanęły.

Pomogły mu do świetnego stanu liczne przywileje przez książąt mazowieckich, następnie przez królów polskich nadawane, a od biskupów wyrabiane i z ich strony pomnażane. Mianowicie dobroczynne były postanowienia 37-go biskupa Jakuba Kurdwanowskiego, oraz książąt panujących Ziemowita, Kaźmirza, Władysława na Płocku, wreszcie w czasach już późniejszych królów Zygmunta Igo i jego następców.

Kres tej pomyślności położyła pierwsza wojna szwedzka, kiedy wojsko przeciwników w r. 1656 zburzyło miasto. Podczas drugiej wojny szwedzkiej w r. 1703, zaszła tu pamiętna bitwa pomiędzy Karolem XII a Sasami, która nieszczęśliwie dla tych ostatnich wypadła, co także było dla miasta bardzo niekorzystne.

Pomimo to Pułtusk zachował ślady dawnego swego bytu i posiada niejedną osobliwość, która zająć może starożytnika. Do takich należą: pałac biskupów, opisany już w N. 55 naszego Tygodnika, ratusz,

wystawiony w r. 1405, przebudowany później i odnawiany ostatnio w r. 1840; na koniec reszta murów otaczających niegdyś całe miasto, z basztą półokrągłą, u góry blankami zakończoną, którą widzieć można w ogrodzie miejskim i t. d.

Pomiędzy tutejszemi kościołami zasługują na



KAROL MALCZ (Podług portretu Simmlera).

zatem „książąt pułtuskich“ lub po prostu „książąt pułtuskich.“ Jako jedno ze znacniejszych miast na Mazowszu, nieraz w dawnych czasach ulegał zniszczeniu i kilkakrotnie po takich katastrofach z zupełnej niemal dźwigał się ruiny.

W r. 1324 zniszczyli je Litwini, z księciem Giedyminem na czele. We dwanaście lat potem Olgierd



WIDOK OGÓLNY PUŁTUSKA.

### Miasto Pułtusk.

Gród ten należy bez zaprzeczenia do piękniejszych w naszym kraju, a lubo położony w nizinie na porzeczku Narwi, która rozdziela się na dwa koryta, jednem otacza miasto, a drugim je przez

z braćmi, wpadłszy do Mazowsza, zabrał ztąd i okolic dwanaście tysięcy niewolnika. W roku 1368 oblegał dobrze obwarowany Pułtusk Kiejstut książę trocki, a lubo mężnego doznał oporu, przeważną atoli liczbą żołnierza przemógł i w perzynę go obrócił. Klemens Pierchała, dwudziesty ósmy z porządku biskup płocki, odbudowawszy miasto, obda-

wspomnienie kolegiaty, wzniesiona w r. 1449, później kilkakrotnie restaurowana, odznaczająca się szczególnością swego wnętrza i dwiema kaplicami: św. Jana Nepomucena, mającą ściany rozmaitemi kafelkami wyłożone i św. Wilgeforty. Jeden z tutejszych biskupów, Ludwik Załuski, zmarły w r. 1772, zamierzając kolegiatę pułtuską uczynić w pe-



wnym względzie panteonem swojej rodziny, nie tylko wystawił w niej kilka pięknych ołtarzy i stalle dla kanoników, ale dla siedmiu członków rodziny Załuskich albo ich powinowatych, pośmiertne wznosił pomniki i dla siebie podobny przygotował. Wszystkie te nagrobki są w jednym stylu i przedstawiają w wypukłości całości figury, we właściwych strojach. Oprócz nich ma jeszcze kolegiata kilka innych dawniejszych, w sztuce ozdobięszych i ciekawszych. Pierwsze miejsce zajmuje nagrobek fundatora kościoła, biskupa Pawła Giżyckiego, zmarłego w r. 1463; dalej godne są widzenia Rafała Leszczyńskiego, zmarłego 1527 r., Jakuba Bielńskiego zm. 1583 r. i w kaplicy wspinał się nagrobek biskupa Noskowskiego z 1567 r. Tamże znajduje się w ołtarzu piękny obraz Zdjęcia z krzyża, malowany na drzewie, dzieło pędzla XV wieku, niepospolitej wartości. W zakrystyi przechowane są dotąd wyroby złotnictwa z XIV i XV wieku, rzeźbą swoją, rysunkiem, emalią i formą osobliwe.

Drugi kościół, górujący ponad innymi budowlami Pułtуска, należał niegdyś do jezuitów, a następnie do benedyktynów. Przy nim to istniała przed wiekami sławna jezuicka szkoła, takiej używająca wziętości, iż z nakołm młodzież z odległych stron kraju garnęła się do niej, a liczba uczniów do tysiąca dochodziła. Po spaleniu się pierwszego kościoła, jezuiti wystawili terazniejszy w r. 1717, a gdy skasowani zostali, gmachy oddano benedyktynom, którzy je posiadali do r. 1864, trudniąc się także edukacją do roku 1833. Jest to budowla obszerna, dwiema wieżami zdobna i pięknymi odznaczająca się proporcjami, wewnątrz zaś wspinałymi przybrana ołtarzami. Stalle i obrazy sprowadzili tu z sobą benedyktyni z Płocka. Siegają one robotą XVI wieku, cenniejszy zaś pomiędzy nimi jest obraz Niepokalanego poczęcia N. Panny, pod której nogami wyczytać można rok 1524.

Trzeci kościół, po-reformacki, zbudować kazał Wojciech Wessel kasztelan warszaw. w r. 1648. Plan jego piękny zbliża się nieco do stylu XVI wieku. Wewnątrz ma wszystkie przybory wykonane niezłą rzeźbą.

Nakoniec kościół św. Krzyża, za miastem na wzgórzystym brzegu odnogi Narwi stojący, w r. 1539 zbudowany, odnowiony został w r. 1805 przez biskupa Onufrego Szembeka. W nim też on i jego poprzednik Krzysztof Szembek mają swoje nagrobki.

Wreszcie gmach szpitalny z kaplicą, będący pod dozorem sióstr miłosierdzia, założony przez biskupa Wojciecha Baranowskiego w r. 1594, pierwotnie przeznaczony był na seminarium; kiedy jednakże biskup Andrzej Stanisław Załuski przeniósł takowe do nowowystawionej przez siebie budowli obok kolegiaty, siostry miłosierdzia zajęły opuszczone mury.

chciwością, z powodu dostrzeżonego przy nim złota; a gdy o pomyśle się dowiedział, sam się oddał w ręce sprawiedliwości, fundusz na wymurowanie owych pięciu figur wyznaczył i pod mieczem katowskim życie zakończył.

## Kronika zagraniczna,

przez  
J. I. Kraszewskiego.

XI.

Nigdzie lepiej jak w Niemczech nie pojęto wiel-

kiej wagi stowarzyszeń wszelkiego rodzaju ludzi, których jeden stan, zatrudnienia, położenie, interesa zbliżają i solidarnymi czynią. Nie mówiąc już o licznych kongresach, których celem są narady naukowe i wymiana myśli ludzi zajętych jednemi przedmiotami, same towarzystwa wzajemnej pomocy, założone dla wsparcia podupadłych członków, są tu daleko skuteczniej rozwinięte niż gdzie indziej. Mają je muzycy, nauczyciele, a nawet dziennikarze. Zaprawdę, zbliżenie się ostatnich, z powodu opinii i sprzecznych interesów może najnamiętniej i najostateczniej przeciwko sobie występujących, było jednym z najtrudniejszych.

Wpadł nam pod pióro wyraz, który ten fenomen tłumaczy: interes. Niema mowy o interesach myśli i ducha, ale o tych prostych, ziemskich, powszednich, które są bodaj naj-

silniejsze, niestety! i największych dokazują cudów. Cudem w istocie nazwać można takie zbliżenie się do siebie, jakie od r. 1862 z dosyć dobrym skutkiem literaci i dziennikarze berlińscy zamierzili i po części osiągnęli.

Pismo z którego bliższe o tem szczegóły czerpiemy, nie powiada za czyją inicjatywą w r. 1862 nastąpił pierwszy związek stowarzyszenia „Berliner Presse.“ Musiała ona być i silnie postawioną i ogólnie popartą, gdy przyszło do skupienia się u jednego stołu przedstawicieli tak różnych opinii, jak Volkszeitung, gazety zwaną Krzyżową, Kladderadatsch'a, cioci Voss i wuja Spener'a.

Wszystko to w zgodzie i harmonii zebrało się u



KAPLICA ŚW. KRZYŻA W KATEDRZE KRAKOWSKIEJ. (Rysował z natury Gryglewski). Zobacz artykuł w Nrze 176 Tygod. Ilustrowanego.

które w ostatnich czasach biskup Krzysztof Szembek znacznie rozszerzył. Cały ten gmach, z ośmioboczną kapliczką w rogu i z pięknym portykiem, dosyć się korzystnie pod względem sztuki przedstawia.

Do osobliwości Pułtуска należy jeszcze pięć murowanych figur, w różnych stronach po za miastem stojących, do których przywiązane jest okropne miejscowe podanie.

Ma to być pamiątka zbrodni popełnionej przeszło sto lat temu przez tutejszego mieszczanina, który dawszy jednego razu nocleg w swoim domu własnemu synowi, z dalekiej wracającemu wojaczki i przez rodziców niepoznanemu, zabił swego gościa, zjęty



jednego stołu, z dodatkiem innych ludzi pióra: medyków, ekonomistów, socjalistów, Heglistów, Schopenhaurystów i . . . wszelakich istót.

Te pierwsze zawiązki stowarzyszenia wzajemnej pomocy „Berliner Presse“ były lub zdawały się być zwiastunami najpiękniejszej przyszłości. Każdy w początku ostre kany swęj indywidualności starał się ogładzić, aby sąsiada nie kłuł; ale dłuższe nieco obcowanie z pod płaszcza wátowanego grzeczności i względności wydobyło łokcie, ręce, palce i pazurki... Wprawdzie uchwalono statuty, ale... ludzie się rozpierzchli i odstrychnęli. Dzięki jednak usiłowaniu kilku pojedynczych umysłów, natchnionych miłością chrześcijańską, nawa stowarzyszenia płynęła dalej, rozbić się jej nie dano. Szło o to, aby zapewnić pomoc pisarzom w razie choroby długiej, wychowanie ich sierotom, chléb powszedni wdowom. W żadnym może stanie — bo w Niemczech pisarstwo jest stanem, — tyle nieopatrzności i biédy nie znaleźć, przy tak znowu wielkich wymaganiach. Każdy co ma do czynienia z myślą i słowem, rości sobie prawo do pierwszorzédnego stanowiska w społeczeństwie, choćby myśli nie miał własnej, a słowem nowym być nie umiał. Gdy tenor opery i pierwsze soprano biorą summy bajeczne, ten co pokarm żywota przysposabia w pocie czoła, lichy wynagradzany, stoi wiecznie na granicy, która go od żebraka nieznaczoną linią oddziela. Teoria powiada, że kto tak święte spełnia posłannictwo, powinien je w dziurawym płaszczu i butach pełnić, bo to są niezbędne godła jego wielkości. Tymczasem, bądź co bądź, niedobrze może jest aby sobie ludzie gardła podrzynali jak poeta G...., zrozpaczywszy o przyszłości. Gdy czeladnicy kunsztu szewskiego mogą zabezpieczyć się od nędzy, czemużby literaci podobnie uczynić nie starali się? Czemużby kasy posilkowej, lub przynajmniej pożyczkowej, zaliczkowej nie założyli?

Z tą myślą zawiązało się stowarzyszenie „Berliner Presse“, szukając pierwszych funduszy już w dobrowolnych miesięcznych opłatach, już w przedstawieniach teatralnych na korzyść pilnej pomocy potrzebujących swych członków. Tak dla rodziny wspomnianego poety przesłano z samego Berlina 1300 talarów.

Oprócz tego głównego celu, w rzeczach samostniennych dziennikarstwa i warunki prawne jego bytu obchodzących naradzano się wspólnie.

Nazewnątrz stowarzyszenie objawiało się czią geniuszów i obudzaniem ich pamięci w szerszych kręgach, przez uroczystości wspominkowe, bardzo zresztą w Niemczech częste i zwyczajne. Pierwsze ono obudziło myśl podobnych obchodów na cześć Schiller'a, Lessing'a, Uhland'a i jubileusz Shakespearowy. W tych to właśnie dobach wielkiego zjednoczenia, które skupiają wszystkich, bez różnicy zdań i przekonań czasowych, najciekawszy widok przedstawia posiedzenie uroczyste Berliner Presse. Dzisiejszym jego prezesem jest Aleksis Schmidt, redaktor gazety Spener'a, którego charakter łagodny i usposobienia ludzkie wskazały jako naturalnego przewodnika stowarzyszenia, w którym ciągle trudną zgodę na baczeniu mieć należy. Uśmiechający się, wesół, uprzejmy, w zarodku ostrego słowa gasi natychmiast mogący wszczać się pożar i polewa go uczuciem przejednywającym. Obok Schmidta, ewentualnym zastępcą jego jest człowiek młodej jeszcze, prawie niewieści, przyjemnej fizygnomii, ale dosyć stanowczego słowa, felietonista National-Zeitung, p. Karol Frenzel, powieściopisarz, podróżopisarz, literat bardzo znany i w pewnych kołach ceniony. Naprzeciwko niego zasiada głośny ze swych wielkich ślicznych obrazków Berthold Auerbach, w bezpośrednim sąsiedztwie głównego redaktora cici Voss, sarkastycznie uśmiechniętego dr. Lindnera, znanego z namiętnego przywiązania do Schopenhaurowskiej filozofii i jednego z najznakomitszych teoretyków muzycznych. Cenioną jest jego Historia opery i wiele rozpraw o muzyce.

Staruszek z pobielalą głową, malowniczych, charakterystycznych rysów, jest to najstarszy drzeworytników tutejszych protoplasta, osiemdziesiątletni wydawca bardzo rozpowszechnionych i dobrych kalendarzy ilustrowanych, profesor Gubitz. Był on niegdyś redaktorem „Gesellschafter'a“, pisma które się chlubiło współpracownictwem Henryka Heinego, Arnima, K. Brentano i wielu innych znakomitości muzycznych, teatralnych i literackich.

Staruszek Gubitz ma pełno zajmujących wspomnień z tych dawnych już i prześcignionych czasów, gdy Ifland rozbudzał teatr do życia, gdy Devrient ukazał się raz pierwszy na scenie, gdy w Berlinie grano Freyschütz'a, gdy Zacharyasz Werner występował z swym fantastycznym dramatem, a Chamisso, Hitzig i inni zajmowali znaczące stanowiska w literaturze. Gubitz, pomimo swych lat osiemdziesięciu, regularnie pisuje krytyki teatralne do cici Voss i co rok wydaje swój kalendarz ludowy, rozchodzący się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy po całych Niemczech. Mówią że pisze teraz swe pamiętniki, które wielce zajmującymi będą niechybnie.

Daléj zasiadają młodszy członkowie stowarzyszenia, najprzód dwaj znani pisarze dramatyczni, Brachvogel, autor i u nas grywanego Narcyza i Karol Heigel, autor Marfy. Brachvogel, który o własnej sile wyrobił sobie dość znaczące miejsce, wygląda nawet powierzchownie tak, że mimowolnie ściąga na się patrzącego uwagę. Głowa to o czole szerokim, małych ale bystrych i świecących oczach i włosach obfitych, w tył artystycznie odrzuconych. W początkach poświęcał się on rytownictwu, ale kształcił się zarazem, czując w sobie powołanie poety. W położeniu dosyć biédnym, żył z miejsca które jakiś czas zajmował w telegraficznym biurze Wolffa; potem sekretarował w teatrze Kroll'a. Pierwsze jego próbki poetyczne, acz nie bez wartości, nie potrafiły obudzić zająca. Próby téż dramatyczne, grywane na mniejszych teatrach, w początkach nie miały powodzenia; ale Brachvogel się nie zrażał. Narcyzowi winien on całą swą sławę i położenie szczęśliwsze. Przyjęty na scenie teatru królewskiego w Berlinie, odegrany dobrze, sprawił takie wrażenie, jak niegdyś Pustynia David'a w Paryżu. W jednej godzinie Brachvogel z maleńkiego człowieczka, stał się znakomitym pisarzem dramatycznym. Obok niego wspomniany już Heigel pisze także ładne nowelle. Przy nim siedzi Juliusz Rodenberg, który się dał poznać udatnymi szkicami z podróży swych po Anglii, Szkocji, Irlandyi i t. p.

U drugiego stołu gromadzą się słynny i powszechną obudzający trwogę, ostry i nielitościwy Kosak, który przemawia słodziuchno, choć pisze nader śmiało i sarkastycznie; Glassbrenner, jeden z kladderadaczowskiego obozu; Dohm, wielce miły człowieczyna i wesół Rudolf Löwenstein. Czwórka to pełna dowcipu i dobrego humoru.

W dalszym jeszcze tłumie, gdyż sala bardzo była napełniona, tylko znaczniejsze wymienić można osobistości: pp. Zabel, redaktora National i Lehmann'a wydawcę Magazynu literatury zagranicznej, w którym nieraz dawniej i przekłady z dzieł polskich się mieściły, Gwido Weiss'a publicystę, dyrygującego berlińską „Zukunft“, Kletkego literata pracowitego, poetę i historyka Pröhle i Juliana Schmidta. Z prawników postrzedz można sędziego Hirsemenzel i znanego deputowanego asesora Laskera. Pierwszy z nich wydaje Gazetę jurydyczną. Należą także do stowarzyszenia Fr. Adami pisarz dramatyczny i krytyk, powieściopisarz utalentowany Habicht, historyk Streckfuss, ekonomista Prince-Smith, romansopisarz Mützelbourg i t. d.

Z liczby tych których imiona wymieniliśmy, można już łatwo zmiarkować, że stowarzyszenie, pomimo trudności jakie na swęj drodze spotykać może, jest stanowczo ugruntowanym i obiecuje przynieść owoce. Bardzo świeżo zamierzyło ono i ogłosiło dawanie publicznych koncertów, na korzyść podupadłych literatów i dziennikarzy.

Wspomnieliśmy wyżej imię Henryka Heinego; musimy więc oznajmić, że o pół tańsze wydanie wszystkich dzieł jego właśnie wychodzić zaczyna; pierwszy zeszyt znajduje się już w handlu.

Ważną także publikacją jest wydanie trzecie, jeśli się nie mylimy, Historii niemieckiego języka Jakuba Grimm'a. Pierwsze, jak wiadomo, ukazało się w r. 1848, drugie w r. 1853. To które teraz zapowiadają nie jest powtórzeniem poprzedzających, ale znacznie zwiększonem i przerobionem, z bogactwem w nowe przypisy. Redakcyę powierzona została kompetentnemu pisarzowi, o jakich w Niemczech nietrudno.

Pierwszy tom oczekiwanej powieści historycznej Karola Gutzkowskiego, pracy która zwiastuje zupełne uzdrowienie poety, ukazał się w Lipsku u Brock-

haus'a. Nosi on tytuł Hohenschwangau, a przedstawia epokę 1536 do 1567 roku, więc epokę reformacji. Pierwszy tom, z którego o całości sądzić byłoby zawczasie, drobnostkowo przedstawia życie i obyczaje XVI wieku. Główną w nim postacią (która za tytuł nawet służyć miała początkowo całemu dziełu) jest Argula von Grumbach, zwolenniczka i propagatorka nauki Lutra, „frankijska Judyta“.

Dzieło Gutzkowskie nie jest właściwie powieścią, nie jest téż jeszcze historią, ale czémś pośredniem, mającém wypełnić psychologicznymi studjami, czego ścisłe dzieje nie podają. Zadanie to tłumaczy autor w przedmowie; lecz, nie przesadzając przyszłości, zdaje się nam ono tylko na to postawionem, aby zmieszało co się z sobą łączyć nie powinno. Historia (choćbyśmy tu Ranke'go lub naszego Szajnochę wzięli za przykład) dopuszcza do pewnego stopnia wnioskowanie o charakterach i pobudkach czynów, wypełnianie tych szczerbów, które intuicyjnie a logicznie daje się uzupełnić; ale całkowite tworzenie faktów tylko szkodliwem dla niej być może; jest to rzeczą romansu. W dzisiejszych pisarzach nowéj szkoły historycznej, Thierry'm, Macaulay'u, Micheletcie wreszcie, to wypełnianie już tak wielką gra rolę, że rozciągnąć je daléj, byłoby historią narazić na samowolne przetworzenie, częściej przysługujące fantazyi, systemowi, tendencyi, niż prawdzie. Zarzucano słusznie Micheletowi takie wydalenie pewnych stron charakterów, na przykład w historii Ludwika XV, że niemal sfalszowało istotną fizygnomią postaci dziejowych. Do historii z pewnością wiele jeszcze żywiołów wpłynie, które w niej prawa obywatelstwa dotąd nie miały; ale poszanowanie przeszłości winno stać na straży, aby pod pozorem dodatków, nie zeszyły dzieje na drobnostkowe obrazki anegdotyczne. Wolno jest powieści usiąść na epokę z której kielicha ma się pożywić, ale musi ona zostać czém jest, robotą fantazyi na temat przeszłości, gonącą raczćj za prawdą artystyczną, niż za rzeczywistą. Zadania są wcale różne i mieszać ich z sobą się nie godzi.

(Dokończenie nastąpi).

## Przegląd piśmienniczy.

Słowno o wydawnictwach tegoczesnych warszawskich w ogólności, a w szczególności o najświeższych nakładach Gebetnera i Wolfa.

Kilka znanych firm tutejszych z bogactwem półki księgarskiej, jeżeli niekoniecznie literaturę, nowościami zasługującymi na wzmiankę; w ogóle téż widocznym jest kierunek wydawnictw praktyczny, dowodzący usposobienie ogółu wiecej o pożytek niż o samą piękność dbającego. O ile ten kierunek jest dobrym i że tak wyraźnie powiemy, rozumnym, pokazuje się to z rodzaju nowo wydawanych książek, w których dwa główne widziemy odcienie. Jednym nakładcom idzie o to, czy prędko swoje książki wyprzedadzą, bez względu na ich wartość wewnętrzną i wpływ, ale ze względem na pozyskanie rozgłosu dla swoich firm mało znanych; inni, bacząc na dobro ogółu, łożą na takie dzieła, których uznana powszechnie wartość, widoczne korzyści naukowe i moralne zapewnia społeczeństwu. Pierwsi drukują książeczki w efektywnych kształtach maleńkich broszurek, z tytułami zdolnymi zachęcić i zwabić niejednego; drudzy z godną uznania wytrwałością łożą niemało na swoje publikacje, przynależące szczupłą tylko liczbę ludzi żądnych nauki i jej postępu. Dzieła pierwszych, są to niby reklamy o-wych kupców jarmarcznych, na trzyłokciowych afiszach ogłaszających nadzwyczajną taniość swych towarów. Książeczki tych panów przedsiębiorców w istocie tanie są na pozór, w rzeczy zaś samej warte tyle, co zachwalany eliksyr odmłodzenia, zbawieniny i cudowny, a jednak będący najprostszym w świecie oszustwem. Nie wspominalibyśmy nawet o tym pierwszym odcieniu nakładów dzisiejszych, gdyby nie wzgląd na ich błahą i ujemną dążność i na fałszywe niejako świadectwo wystawiane społeczeństwu, jakoby do tego stopnia zacofanemu, iż mu takich a nie innych potrzeba publikacyj. Tymczasem rzecz się ma zupełnie inaczej, a wyjątki nie mogą stanowić reguły. Pierwszego rodzaju wydawnictw godłem jest owo praktyczne (choć niezupełnie i niezawsze) stare przysłowie, szczególniej od



czasów Kaźmirza Wielkiego u nas panujące: „aby handel szedł;“ w drugim zaś przeciwnie spostrzegamy dążność i interes oparty na moralności i nauce. O dziełach pierwszego rodzaju więcej mówić nie będziemy... nad drugimi zatrzymamy się nieco dłużej, a mianowicie rzucimy słów parę o najzabiegliwszej firmie księgarskiej warszawskiej, konkurującej w zasadach i dążnościach z firmami Karola Wilda, J. K. Żupańskiego i D. E. Friedleina. Mówimy tu o pp. Gebetnerze i Wolfe. Uznając bowiem pożyteczność takich nakładów jak Smiles, Momsen i inne, o których później nie omieszkamy także szczegółowo pomówić, przyznać wypada, iż nakładem księgarni Gebetnera i Wolfa wyszło w tych czasach kilka nader ważnych publikacji, które wydawcom zaszczyt, a ogółowi pożytek zapewniają. Prócz obszernego sześciotomowego zbioru utworów muzycznych Chopina, któremu, choć niespecjalni w tym względzie, możemy, idąc za głosem ogółu, sprawiedliwą oddać pochwałę, zwraca obecnie uwagę czytelników wydawnictwo Gebetnera i Wolfa pod tytułem: Doktora Fryderyka Schoedlera *Księga przyrody*, obejmująca treściwy wykład fizyki, astronomii, chemii, mineralogii, geologii, botaniki i zoologii, dla użytku młodzieży i miłośników nauk przyrodzonych. Dwutomowe to dzieło z 976 drzeworytami, z mapą nieba, księżyca i tablicą geognostyczną kolorowaną, odbite z całą wykwintnością sztuki drukarskiej, posiada prawdziwą wartość naukową i może być z wielkim pożytkiem używane w szkołach, jakoteż i w domowym kształceniu się. Księga Przyrody Schoedlera składa się z 6 części, z których prawie każdą tłumaczył inny pisarz, w miarę potrzeby rozszerzając ją i uzupełniając własnymi spostrzeżeniami. Fizykę i chemię tłumaczył dr. Alfons Ciszewski; astronomię Feliks Wermiński; mineralogię, geologię i botanikę dr. Feliks Berdau; zoologię A. Wałęcki. Szesnaście wydań dzieła Schoedlera w Niemczech w ciągu niespełna lat 20, jest niezawodnie, jak w przedmowie słuszenie wyrażono, niemalą rękojmnią wysokiego pożytku i praktyczności tej pracy. My jej tu szczegółowo rozbiierać nie będziemy, chodzi nam bowiem tylko o wykazanie prawdziwości naszego twierdzenia, że firma o której mowa, rzeczywiście pożyteczne ogłasza dzieła. Wartości dzieła tak wysoko cenione jak Księga przyrody Schoedlera, dowodzić obszernie nie potrzeba. Wypada jeszcze tylko nadmienić, że cena jego, stosunkowo do innych naukowych książek naszych, nie jest wygórowaną, grube bowiem dwa tomy, z tak wielką liczbą drzeworytów, kosztują 5 rubli 80 kopiejek.

Do świeżych publikacji Gebetnera i Wolfa należą także *Opowiadania historyczne*, zebrane dla młodych czytelników przez Jana Chęcińskiego, oraz: *Dzień grzecznego Władzia* w rymowanych ustępach, opowiedziany dziatwie z dodaniem różnych wierszyków, przez tegoż autora, z drzeworytami rysunku Juliusza Kossaka. Oba te dziełka przeznaczone są wyłącznie dla dzieci. W wielu książeczkach prozą i wierszem pisanych dla dzieci, spostrzegać się dawała pewna lekkomyślność autorów i wydawców, którzy snadź mniemali, iż dla młodego pokolenia dosyć jest w prozie obracać za przedmiot byle jaką błańską, a w wierszyku sadzić zdrobniałymi słoweczkami. Ale rozważa i doświadczenie przekonują przeciwnie, iż ułożenie dziełka pożytecznego dla dzieci wymaga wielkiej oględności i osobnych nawet studyów. Wybór przedmiotu i forma w jakiej się go podaje, są tu niemalą trudnością. Można powiedzieć, iż do pisania dla dzieci trzeba odrębnego talentu. Tego też talentu odmówić p. Chęcińskiemu niepodobna; owszem, posiada go w wysokim nawet stopniu, zwłaszcza w formie rymowanej. Są wprawdzie w owej książeczce p. t. *Dzień grzecznego Władzia* ustępy i wyrażenia, któreby można pominąć w dziełku dla młodocianego wieku przeznaczonem; całość jednak z takim poczuciem moralnem jest dokonana, tyle w niej prawdziwego i serdecznego ciepła, że i starsi z przyjemnością odczytać mogą tę pracę, najbawienniejszy wpływ zapewniającą dla młodzieży. W „Opowiadaniach historycznych“ tegoż autora, przeznaczonych dla starszej cokolwiek dziatwy, mimo trafnego doboru historycznych postaci, mniej daleko spotykamy interesu, aniżeli w *Obrazkach z życia znakomitych ludzi*, zebranych przez Wacława Szymanowskiego, a wydanych w r. 1866 nakładem również Gebetnera

i Wolfa. Obrazki p. Chęcińskiego, w których wyborze widocznie znaczne uczucia przewodniczyły, są zbyt odległe i zazimne, że tak powiem, dla naszej młodzieży; napotykamy tam ustępy niektóre wcale piękne, mogące służyć za przykład szlachetności i pracy; ale są także i obojętne, a nawet, jak np. ustęp o Diogenesie, niestosowne. I w *Obrazkach z życia znakomitych ludzi* Szymanowskiego są epizody, jak np. o Beethovenie i Annie z Bretanii, odpowiedniejsze w jakim piśmie belletrystycznem dla niewiast, aniżeli w dziełku dla młodzieży; ale rzecz o Diogenesie w książce p. Chęcińskiego nierównie więcej jest rażąca. Pocóż zdziierać urok z postaci która przeszła do nas w tradycji jako wzór mądrości i gardzenia światową próżnością? Naco tłumaczyć tę dodatnią stronę mędrca racjonalną, niemiecką anatomią, zowiąc dziwactwa próżniactwem, a dowcip obłudą i fałszem? Czy szanowny autor nie zastanowił się nad zgubnym następstwem wpływu takiego rozczarowania w młodym umyśle, w którym niezawodnie po takim początku zrodzić się musi zwątpienie i o innych czcigodnych postaciach? Dziwnemi się też wydają wyrażenia łacińskie w ustach Greków, które należało spolszczyć, jeżeli nie przytoczyć w oryginale. Pomimo to wszystko jednak dziełko o jakim mowa, mimo wymienionych usterków, z pożytkiem może być używane przez młodzież i w poprawnym wydaniu, z dodaniem np. obrazków z dziejów nas bliższych i większy interes obudzających (co także i obrazkom p. Szymanowskiego przydałoby wartości), stanie się wielce pożądaną publikacją.

Zwracając się jeszcze raz do pięknie wydanej książki p. t. *Dzień grzecznego Władzia*, polecić ją mamy obowiązkiem i dzieciom ku rozrywce, i matkom samym, z których niejedna więcej z takiej książeczki skorzysta, aniżeli z filozoficznych rozpraw o wychowaniu, czy to po francuzku, czy po niemiecku pisanych.

Mówiąc tu o dziełkach dla młodzieży, zalecić także możemy wydaną przez Gebetnera i Wolfa książkę p. t. *Księga najpamiętniejszych odkryć geograficznych*, zebraną z najnowszych źródeł przez Wł. L. Anczyca. Książkę tę nie zarzucić nie można, prócz braku wielce przy jej czytaniu potrzebnej mapy. Sama rzecz czyta się z wielką przyjemnością i zajęciem.

W przebiegu tym bibliograficznym wydań Gebetnera i Wolfa, z którego już każdy poznał zapewne kierunek i dążności jakie wydawcom przewodniczą, wspomnieć w końcu wypada i o *Przewodniku ekonomii politycznej*, przełożonym z francuzkiego H. Baudrillart'a przez panią Joannę Belejowską. Wobec dzisiejszego zwrotu ku dziełom głębszej nauki, umiejętność ekonomii politycznej coraz większego nabiera interesu. Pożądaniem też jest ogłoszenie przekładu tego dzieła, którego autor, profesor w Collège de France, zajmuje zaszczytne w świecie uczonym stanowisko, a w gałęzi umiejętności ekonomicznych tę ma nadto wyższość nad innymi, iż swojemi pracami usiłuje dowieść, jak mylnem jest dosyć upowszechnione zdanie, że ekonomia polityczna dotyka wyłącznie interesów materialnych człowieka i społeczeństw. H. Baudrillart wprowadza ekonomią polityczną na właściwe, godne jej znaczenia i doniosłości stanowisko, i łącząc ją z zakresem moralnych i intelektualnych praw i potrzeb ludzkości, z postępem i wiedzą, nieodłącznymi od jej istnienia, kreśli cały obraz działalności życia społecznego, treść jego wyczerpujący. (Wstęp str. 2). Dzieło to, w starannym wydane przekładzie, świadczy także o coraz bardziej rozszerzającym się zakresie pracy naukowej w świecie niewieścim, a napisane jest jasno i przystępnie, pomimo iż wyczerpuje swój przedmiot umiejętnościami. Na wzmiance też o niem kończymy nasz przegląd dzisiejszy nakładów zasłużonej firmy Gebetnera i Wolfa, zamawiając sobie i na przyszłość uwagę łaskawych czytelników w przedmiocie dalszych gawęd naszych o wydawnictwach bieżących. J. K. T.

#### KORESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Paryż, 28 kwietnia 1867 r.

Wiosna w Paryżu. — *Magasins réunis*. — Plaga na kupiectwo. — Clichy. — Drewniana kawiarnia. — Dłużnicy. — Śmierć modelu. — Ruch ludności w 1864 roku.

Wiosna, no! doczekaliśmy się jej przecie w Paryżu. Niedawniej jak onegdaj, trzeba było jeszcze paltu zimowe na grzbiet wciągać, a dziś już ciepło. Kilka dni temu przechodziłem przez tuileryjski ogród: drzewa zaledwie pączkami strzeliły. Dziś wracam ztamtąd, spiesząc ażeby pisać do was, i do mojej izby przynoszę wrażenie czegoś nieokreślenie miłego, wrażenie którego doznaje mieszczuch na widok zieloności. Drzewa się pokryły liśćmi, a jakim liściem!... W mieście liść nabiera szczególnego uroku. Majowy kolor dla oczów mieszczucha ma w sobie coś czarującego, wydaje się gościem z innego, lepszego świata, witany nieledwie ze łzami w oczach.

Więc... wiosna. Pragnąłbym aby korespondencya moja była wiosenną. Niestety! oprócz o zielonych listkach, o niczem więcej, co by znamionowało budzenie się przyrody do odzicia, z Paryża pisać nie można. Ptaszki, wyjawszy wróbla, uciekają od tego ludzkiego mrowiska. Wątpię nawet, ażeby który zaawanturował się przełotem ponad Paryż. Mieszkam dość blisko ptasich dróg, patrzę prosto w niebo, i nie zdarzyło się mi nigdy dostrzedz którego z powietrznych wędrowców, przeciągającego ponad stolicą Francji. Muszą ją oni omijać, i niedziw. Odstrasza ich zapewne łoskot i czad, które wznosząc się do góry z bruków miejskich, otaczają Paryż w górnych strefach atmosferą niekoniecznie mile działającą na słuch i powonienie, zwłaszcza ptasie. Wiosna przyszła: wiemy o niej z kalendarza, z uszczuplenia wydatków na węgiel, z termometru, z zazielenia drzew, z tego zresztą iż przyszedł doroczny termin na przechadzkę Longchamps, na wyścigi, że przeminęła Wielkanoc, że i t. d. Po tych wszystkich symptomatach, my dobrowolni i mimowolni Paryżanie sądzą o zmianie zaszłej w przyrodzie, ani się nawet domyślając, jak ważną rolę ta zmiana gra za Paryżem, jak ona jest uroczystą dla rolnika, który, mimo rozwoju przemysłu, handlu, sztuk, rzemiosł i wszystkiego tego co się w murach miejskich mieści, jest zawsze karmicielem społeczeństwa i najważniejszem z jego ogniw. Dla nas: co tam wieśniak!

Więc wiosenną moją korespondencyą zrobić nie mogę; pomimo najszczerszej woli. Obawiam się nawet, ażeby nie była jesienną. Będę starał się jednakże uzienić ją o ile można.

Otóż siedziałem na bulwarze du Temple na ławeczce, przypatrując się olbrzymiemu budynkowi wznoszącemu się po drugiej stronie ulicy. Dészcz padał, ławeczka była mokra, a parasol niedostatecznie mnie okrywał. Przytęm zbliżała się godzina obiadowa. Było mi przeto głodno, chłodno i do domu daleko; ale o mnie mniejsza. Inni utraپieni zajęli moją myśl, a napadli na nią tłumami wszelakiej płci i wieku, gdy spojrział na wspaniałe ów pałac.

Przy wyrazie „wspaniałe“ nie myślę się upierać. Wspaniałym będzie on może gdy go skończą, gdy wszystkie podwoje otworzy publiczności. Do ukończenia mu niedaleko. Budynek już stoi w całości, tylko jeszcze nie wygładzony i wewnątrz nie urządzony. Z rąk architekta i mularzów już wyszedł, tylko jeszcze stolarze i dekoratorzy mają z nim do czynienia, lecz i ci wkrótce go opuszczą, ustępując miejsca właścicielowi.

Właścicielem tego gmachu jest handel, pod nazwą: *Magasins réunis* (złączone magazyny).

*Magasins réunis* będą sprzedawały zadarmo, to jest będą kupującym po pewnym czasie zwracały wydane na kupno pieniądze. Spekulacya ta opiera się na kombinacji bardzo prostej. Zysk w handlu zależy nie od drogiej, ale od pewnej i częstej sprzedaży, to znaczy, od szybkiego obracania wkładowym kapitałem. Jeżeli włożyłem w towar 100 złp. i ten towar pięćdziesiąt razy w ciągu roku kupię i sprzedam, nie biorąc za sprzedaż więcej jak 5 procent, to na stu zyskam 250. Owóż tym zyskiem *Magasins réunis* dzielą się po połowie z kupującym: 125 zostawiają dla siebie, a drugie 125 przeznaczają na składane procenta. Każdy kupujący, na każde 100 fr. za które kupi w magazynach towarów, dostanie obligacyą, płatną za kilkadziesiąt lat z procentami. Wyplaty obligacyj będą się odbywały przez losowanie, a przy losowaniu będą i numera wygrywające duże summy. Jeżeli przeto komu los poszczęści, za 100 franków, za które kupił sobie dajmy na to odzienie, dostanie w swoim czasie kilkadziesiąt



tyśięcy. Lecz nietylko kupujący na raz za franków 100 przypuszczonymi są do korzyści. Ci co na mniejsze kwoty robią sprawunki, dostają kwity, a gdy tych kwitów uzbiera się na franków 100, kasa złączonych magazynów wymienia je na stufrankową obligacyę.

Otóż patrząc na gmach złączonych magazynów, myślałem o handlarzach różnego rodzaju. Co się z nimi stanie? kto u nich będzie kupował? Ten gmach, czyż nie jest upiorem, który powoli wysię z nich krew? Będą się biedacy bronili całymi siłami; obniżą ceny do możliwego minimum, będą może nawet sprzedawali niższej rzeczywistej wartości... nic nie pomoże. Jeżeli nadzwyczajny jaki wypadek towarzystwu złączonych magazynów, które, jak słyszałem, przeciwko wypadkom dostatecznie się zabezpieczyło, nogi nie podstawi, cały handel musi zbankrutować. Każdy bowiem będzie wolał kupić, chociażby nieco drożej, lecz z nadzieją odebrania napowrót wydanego grosza, aniżeli tanięć a bez tej nadziei.

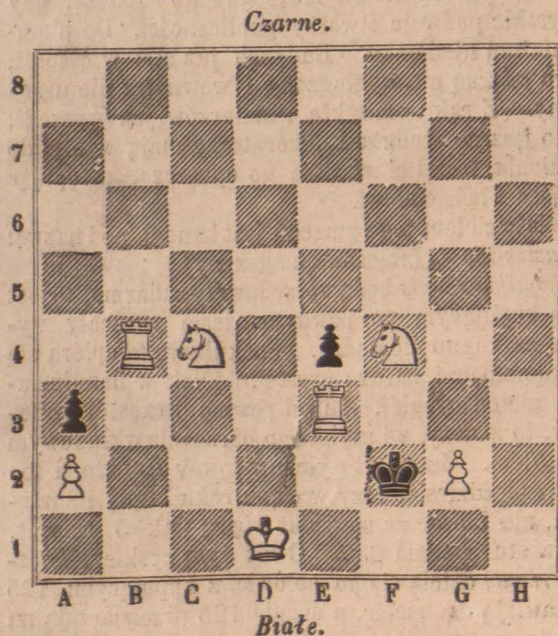
Żadna handlowa specjalność nie ostoi się w obec złączonych magazynów. Będzie to coś nakształt Palais Royal, tylko bodaj czy nie na większą skalę. Gmach ma dwa piętra. Sklepy wychodzą jedne na ulicę, drugie na podwórze. Pomiedzy zakładającymi się sklepami widziałem cukiernię; zapewne będą i kawiarnie i restauracye, a może i teatry. Pomiedzy wywieszonymi sztyldami są: domowe sprzęty, złotnictwo, mosiężnictwo, rolnicze narzędzia i t. p. Można przeto będzie zadarmo zaopatrzyć się we wszystkie potrzeby, wypić, zjeść i zabawić się.

O! wielkie utrapienie grozi handlowi. Na tym bowiem gmachu nie koniecznie. Złączone magazyny, jeżeli im nieźle pójdzie, nie omieszkają zakładać filij, najprzód w różnych częściach Paryża, następnie po większych i mniejszych miastach we Francji i za Francją. W innych krajach utworzą się podobne stowarzyszenia. Najprzód więc paryżcy kupcy z torbami pójdą, następnie cała klasa kupiecka na całym świecie. Handel ześrodkuje się w ręku kilku w wielkie kapitały zaopatrzonych stowarzyszeń.

## Szachy.

ZADANIE CCCLIV.

Białe zaczynają i dają mat za 3-ém posunięciem.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 353.

Białe.

Czarne.

- 1) E7—E8 . . . . . 1) D6—D5.
- 2) B6—C8 . . . . . 2) D7—D6.
- 3) C8—E7 . . . . . 3) Laufer jakkolwiek.
- 4) E7—C6 lub G6++ i mat.

## SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Rysował F. Kostrzewski.



Przy myciu okien.

— Ach! moja Marysiu!... uważaj tylko żebyś nie wypadła. *Mon Dieu!* narobiłabyś mnie tyle ambarasu!...

Nie najzabawniejsza dla handlujących perspektywa.

Przedsiębiorstwo jednakże złączonych magazynów, zastanowiwszy się nad tem, jest naturalnym konkurencyjnym wynikiem. Konkurencya do tego musiała doprowadzić. Jakim-bo ona środkiem głównie wojowała i wojuje? oto... wabieniem kupujących. Zwabienie jaknajwiększej liczby kupujących, było zenitem kupieckiego dowcipu. Łamano sobie nad tem głowy pojedynczo i zbiorowo, wysilano rozumy i trafiono na kombinacyę, zaręczającą sprzedaż pewną i szybką, to jest, zwabiającą kupujących w jaknajwiększej ilości i odcinającą ich, pewnością korzyści, od wszelkich innych magazynów i sklepów.

Siedziałem długo na ławeczce, wpatrując się w złączone magazyny i rozmyślając o losie kupieckiej klasy. Gdym wstał i odszedł, doznałem złudzenia, które mnie drugi już raz w życiu napastuje. Przed laty byłem w Londynie i zwiędzałem wystawę figur woskowych. Gdym wyszedł z tego zakładu, na ulicy wszyscy ludzie których spotykałem, wydali się mi, woskowymi. Gdym odszedł od gmachu złączonych magazynów, na ulicach wszyscy ludzie wydali się mi... bankrutami.

— Toć przecie tak być nie może... pomyślałem w końcu sobie. Jakoś to z tego niebezpieczeństwa kupiectwo się wywinie.

Jakoś? ale jak? *that is the question.* Zdaje się, iż świat kupiecki pociesza się tem ogólnem na wszelkiego rodzaju utrapienia lekarstwem: „jakoś to tam będzie“

Może złączone magazyny zbankrutują? Może, alboż ja wiem. Co do mnie, nie życzę im tego, mam bowiem kilka do zrobienia sprawunków, z którymi się wstrzymuję, ażeby je w nich zrobić i stać się przez to wierzycielem. Być wierzycielem, to tak miło! Człek zyskuje na powadze i znaczeniu. Bądź co bądź, jeżeli stowarzyszenie złączonych magazynów wywiąże się sumiennie ze swego zadania, ogół na tem ogromnie wygra, a szczególnie ludzie ubożsi, żyjący z zarobków lub szczupłej pensyi i mający przyszłość dzieci do zabezpieczenia. Cała rubryka bezpowrotnych wydatków na odzież i domowe sprzęty odrazu im odpadnie.

Tak to podobno zawsze na świecie się dzieje: jedni tracą, drudzy wygrywają. Fortuna kołem się toczy. Któs tu zbankrutuje, to pewna, albo kupiectwo w ogóle, albo stowarzyszenie magazynów. Publiczność kupująca wygra w obu razach, w pierwszym wiele, w drugim trochę mniej, zawsze jednakże uszczuplony dostarczy kontyngens do Clichy.

Ach! zapominałem że Clichy należy już do wspomnień przeszłości. Clichy — wszak wiecie co to znaczy? Wątpię ażeby kto z czytelników Tygodnika Ilustrowanego, chociażby należał do tego dziś rzadkiego ludzi rodzaju, którzy do Paryża nigdy w życiu ani na jeden tydzień nie zajrzeli, wątpię, powiadam, ażeby znalazł się człowiek umiejący czytać i nie pozbawiony zmysłu słuchu, któryby nie wiedział jak się nazywało zniesione ostatnimi czasy więzienie za długi. Zniesiono je, niestety! Mówię „niestety“, nie w odniesieniu do siebie, ani do ogromnej większości ludzi składających społeczność, lecz do niewielu wyjątków, nie wiedzących co z czasem robić. Clichy dla pewnych indywiduów było rodzajem rozrywki. Dawali się tam zamykać dla urozmaicenia sobie życia. Nie płacili długów, chociaż mogli, dlatego tylko żeby „posiedzieć w kozie“. W więzieniu za długi takich było najwięcej, bo sadzanie innego rodzaju dłużników nie przedstawiało obowiązkiem łożym na utrzymanie ich wierzycielom najmniejszej korzyści. Sadzali więc albo paniczów, mających interesujących się nimi bogatych rodziców i krewnych, albo też amatorów, nie lubiących płacenia długów, licząc na ich znudzenie. Ciche nazewnątr i przez sztyldwachów strzeżone mury więzienia, brzmiały wewnątrz weselem. Więźniowie bawili się doskonale, jedli i pili wybornie i w więzieniu nowe długi robili.

Zakład ten został zniesionym, niestety! powtarzam raz jeszcze. Tym razem wykrzyknik mój odnosi się do właściciela pewnej kawiarni, któremu zawołowane przez zgromadzenie narodowe prawo o więzieniach za długi zagroziło bankrutem. Kawiarnia ta, zbudowana z desek i nie odznaczająca się przepychem ani nawet komfortem, jak jej siostrzyce na bulwarach, mieściła się w tuileryjskim ogrodzie. Skromna jej powierzchowność wzbudzała podziw. Była ona w Paryżu jakby nie na swoim miejscu. Wyglądała raczej na barak naprędce postawiony i

(Ob. dodatek).

## Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 397.

Za wielkie marzenie,  
Bóg spuszcza osłepienie.

(Dodatek).



trochę przyozdobiony, nie na konwersacyjno-libacyjny zakład, liczący na nieugaszone pragnienie absentowiczów i mazagranowiczów, lubiących gadać, pić i w domino grać z komfortem i to zwłaszcza w godzinach po zachodzie słońca, w tych godzinach, w których ogrodowa owa kawiarnia nie miała najmniejszej racji bytu. Ogród zamykają o zachodzie słońca. Istnienie przeto tej kawiarni wydawało się zagadkowym i było niemi rzeczywistością, ale dla tych tylko, którzy nie wiedzieli że kościoły i tui-leryjski ogród były bezpiecznym w Paryżu przed wierzytelkami schronieniem. Ta więc kawiarnia istniała wyłącznie dla dłużników którym się nie chciało iść do kozy. A zdarzali się i tacy, i nawet w niemałej liczbie. Zaludniali oni ogród przez cały dzień, od wschodu do zachodu słońca, i przesiadywali w kawiarni, bo im się biadakom nudziło w cieniu jaworów i kasztanów spędzać czas w towarzystwie rentierów, nianiek i dzieci. Po zniesieniu przeto Clichy, ta kawiarnia z pewnością zbankrutuje.

Zapomniałem wspomnieć o jednej jeszcze rzeczy, mianowicie o szkodzie jaką przez zniesienie prawa więzienia za długi, a zatem przez opuszczenie ze strony dłużników drewnianej kawiarni, ponieśli psychologowie. Kawiarnia ta doskonale nadawała się do czynienia psychologicznych studyów, a szczególnie fizjognomicznych spostrzeżeń. Cóż to za egzemplarze tam bywały! Co za dusze obrazowały się na obliczach tych więziennych kandydatów! Dług, wzięty w liberalnym znaczeniu, niby to żadnej nadzwyczajnej nie ma doniosłości. Komuż to, mój Boże, nie zdarza się długi robić, i narobiwszy tego dużo, być w niemożności uiszczenia się w czas? Dług jednakże długowi nierówny. Jedni zadłużają się z potrzeby, drudzy z amatorstwa, a pomiędzy tymi ostatnimi są tacy, którzy amatorstwo doprowadzają do wysokości sztuki. Cóż powiedzieć na przykład o człowieku który nie mając nic i nie robiąc nic, potrafił zaciągnąć dwakroćstotysięcy franków długu! Nieprawdaż że majster! Warto wziąć go za przedmiot psychologicznych studyów, a po śmierci mózg jego poddać rozbiorowi. Szczególną-bo być musi organizacja takiego mózgu, jeżeli istotnie mózg jest zdolności umysłowych siedliskiem. Kwestya ta podobno czeka jeszcze na ostateczne rozstrzygnięcie; ale to do mnie nie należy.

Opuszczam więc rzecz o mózgu, a przychodzę do rzeczy o śmierci, która w sposób jaknajzwyklejszy niedawno o jednego człowieka umniejszyła grono żyjących. Temu człowiekowi na imię było *Jakub* (Jacques). Czy obok imienia posiadał on i nazwisko, o tém milczy źródło z którego o nieboszczyku wiadomość zaczerpnąłem. To pewna, że o jego nazwisku nikt z jego znajomych, a może i on sam nie wiedział. Jak widzicie więc, nie była to żadna znakomitość. Więcej powiem: nic nie umiał, nie posiadał żadnego rzemiosła, ani majątku, ani wpływów, ani protekcyi. Jedną go tylko pośród zwykłych smiertelników szczególność odznaczała: Jakub swoją osobą był dziełem sztuki, był znakomitym utworem tego artysty, który się nazywa naturą. Klasyczna budowa ciała i piękność twarzy czyniły go podobnym do Apolinów, Jowiszów, Herkulesów i t. p. Budową ciała i piękną twarzą zasłynął w świecie artystów, jako model. Jakub tedy był modelem: to było jego rzemiosłem, stanem, sposobem utrzymania. Artysty paryscy, malarze i rzeźbiarze, wszyscy go znali i on ich wszystkich znał. W pracowniach był jak u siebie. Nietylko pozował, ale pozować umiał, co go czyniło nieocenionym. Umiał oraz w potrzebie artystom poradzić, wyprawiając ich zawsze z kłopotu, i to nietylko artystycznego, ale i finansowego. Jakub, mając dochody znaczne, używał szerokiego kredytu, którym nieraz przychodził z pomocą niejednemu wychowawcy muz, zaambarasowanemu o to, co będzie jutro jadł. Głodnego nakarmił, nagiego przyodział, zziębłemu w piecu napalił i szczerem sercem brał udział w uciechach, którym się zwykło dość często oddawać artystyczny świat, mający zwyczaj niemyślenia o jutrze. Ten zwyczaj przejął i Jakub. Chociaż sam nie władał ani pędzlem ani dłutem, miał się jednakże trochę za artystę i nie troszczył się o jutro, pomimo że miał żonę i czworo dzieci. Wtém zachorował i umarł. Pozostało po nim, oprócz żony i dzieci, dużo weksli zhipotekowanych na klasycznej jego budowie ciała i pięknej

twarzy. Gdy tej hipotezy zabrakło, pozostały ruchomości, na które, niby kruki na żer, spadli wierzyciele. Pani Jakubowej i czworgu jej dzieciom zagroziła ostatnia nędza.

Posłuchajcie końca historii. Nie rozwiązała się ona tak smutnie jakby się komu, sądząc po egoistycznym kierunku naszego wieku, wydać mogło. Jakub umarł, lecz artyści nie zapomnieli o jego żonie i dzieciach. Pospiechali z datkami drobniejszych utworów, a że pospieszyli wszyscy, sformował się zbiorek niemały i poszedł na licytację do hotelu Druot. Licytacja przyniosła okrągłą sumkę. Długi zostały spłacone, ruchomości nie zabrano i pani Jakubowej dostało się gotówkę jeszcze tyle, iż ma o czém rozpocząć wdowi żywot. Artysty znaleźli się dobrze. Tak to więc ten nasz świat, o którym tyle różnych chodzi gadek, nie jest do gruntu złym jeszcze. Dużo w nim złego, och, dużo! mogłoby być o połowę mniej, a jeszcze nie byłoby zamało; lecz kiedy niekiedy i coś dobrego jak oliwa na wierzch wypłyne. Pani Jakubowa błogosławi paryżkich malarzy i snycerzy, a wasz korespondent niezmiernie jest kontent, iż mógł o nich rzec dobre słówko, słówko nie odnoszące się do sztuki, ale do serca. Mnie się zdaje że sztuka, gdyby sobie piedestał z serc zrobiła, wieleby na tém zyskała.

Boję się jednakże tę materję zaczepiać, bo może oburzyłbym na siebie estetyków. Mówmy o czém inném, o czémś takiem, coby nie zabrało dużo miejsca na kończącą się ćwiartkę, na przykład o ruchu ludności we Francji w r. 1864.

Monitor ogłosił tablicę pełną cyfr, obdarzonych darem wymowy. Cyframi to się zdarza niekiedy. Nieraz kilka liczb ustawionych szeregiem więcej i jaśniej mówi, niż najwymowniejszy orator. Owóż według Monitora ludność Francji w 1864 roku wynosiła 37,924,432 głów, to jest 18,960,330 mężczyzn i 18,964,102 kobiet. We Francji więc przewyżka kobiet nad mężczyznami jest bardzo nieznaną. Stosunek ten wielce sprzyjałby moralności, gdyby go wesprzeć odpowiednimi warunkami społecznego ustroju. Ludność rozkładała się w sposób następujący: w dep. Sekwany (Paryż i okolica) 1,988,824, w miastach 8,958,078, we wsiach 26,977,530. W jednym Paryżu mężczyzn więcej jest niż kobiet o 54,924. Urodzin było w ogóle 1,005,880, na które naturalnych dzieci przypada 75,900, i to w Paryżu 15,984, w miastach 29,669, we wsiach 30,247. Z tablicy tej pokazuje się, że średnie życie kobiet dłuższem jest aniżeli mężczyzn, zwłaszcza wdowców. Wdowy długo żyją. Biorących ślub a nie umiających się podpisać, była w 1864 r. część trzecia; nie umiających się podpisać konskrypcjonistów, naliczono 28 na 100. Oświata więc ma jeszcze dużo we Francji do roboty.

## Przegląd malarski.

Od pewnego czasu, tak u nas jak i w innych stronach Europy, a tam nawet dawniej i mocniej, rozprzestrzeniła się po pismach peryodycznych i kalendarzach humorystyka, zasadzająca się na krótkich okolicznościowych obrazkach, wiaryszkach, fraszkach, *bons mots*, ekwiwokach, a posilkowana rysunkiem. Rodzaj ten literatury, coraz bardziej się krzewiący, ma swój wpływ i znaczenie, ale z natury swojej prędko idzie w zapomnienie. Dobry koncept, zreżymowana karykatura, tyle warte co litewskie kołduny: trzeba je jeść póki gorące. Taki lub podobny rodzaj efemerydów pojawiał się zresztą w każdej społeczności, w której życie polityczne lub towarzyskie silniej było rozwinięte; nie o nię też dziś zamierzam mówić, ale o humorystyce prawdziwej, głębokiej, trwałej, o ile się ta objawia w sztuce.

Humorystyka w malarstwie nie jest wcale rzeczą powszednią, owszem rodzaj ten stosunkowo rzadziej daleko niż inne się pojawia. Historia święta, alegorye religijne, legendy, klasyczna mitologia, historia świecka, portret właściwy i rodzajowy, malarstwo rodzajowe, krajobrazy w niezliczonych swoich odmianach, wszystko to ma tłumi przedstawicieli. W nieskończonej liczbie myśli, uczuć i kształtów, jakie się w ich utworach pojawiają, panuje powaga, wzniosłość, wdzięk, czułość, okropność, trywialność, ale pierwiastek humorystyczny nader rzadko. Włoscy mistrze nie rozumieją go wcale; w niemieckich

dawniejszych napotykały komikę grubą, ciężką, w karykaturę przechodzącą, i ten charakter pozostał w ich artystycznych utworach aż do nowszych czasów. Flamandzka i holenderska szkoła jedynie zasłynęła humorystycznym zapatrywaniem się na zjawiska rzeczywistego życia.

Holandya, dzięki przewadze licznych miast, odznaczała się rozwinięciem, pełnym ruchem życiem ludowym, którego ślady dziś jeszcze widoczne. W tym rozgwarze delikatny obserwatorski zmysł Holendrów znajdował niewyczerpaną kopalnię śmieszności i osobliwości wszelkiego rodzaju, co w połączeniu z doskonałą techniką, poczuć artystycznym kolorytu i światłocienia, dało początek całemu szeregowi znakomitych dzieł pędzla. Ale i w tym tłumie malarzy życia potocznego, jakimi celowała holenderska szkoła, niewielu naliczyć można prawdziwych humorystów. Breughel, Teniers młodszy, Jan Steen i Brouwer, jedynie potrafili wznieść się nad dokładną kopię rzeczywistości, żart popospolity, lub płaską komikę.

U nas Kostrzewski i Kossak z powodzeniem uprawiają ten kierunek; pierwszy z nich jednak prawie wyłącznie obrał go sobie i prawdziwie niewyczerpany jest w pomysłach, a raczej w chwytaniu ludzkich śmieszności na gorącym uczynku. Różnica między tymi dwoma humorystami (pominąwszy różnicę środków technicznych), leży w tonie, w nastroju; z kąd wypływa że Kossak czasem z humoru przechodzi w ironię, a Kostrzewski w karykaturę.

Sceny z życia potocznego, jakimi nas Kostrzewski tak obficie obdarza, pełne są prawdy, zdradzają doskonałego obserwatora typów ludowych, obserwatora z sercem, kochającego tych z których wesoło szczydzi. Żart jego nieraniący, brzydota postaci nie przesadzona umyślnie, jak to się holenderskim mistrzom często zdarzało; dobronasza wesołość, nie hypochondrya, pobudza go do zbierania wzorków.

Kolorytem Kossak nie dochodzi angielskich akwarelistów, a Kostrzewski holenderskich swoich poprzedników. Zastrzedz jednak należy, iż jeżeli ów ostatni ma z holenderskimi mistrzami wspólny kierunek i charakter, bynajmniej to nie znaczy iżby był ich naśladowcą. Kostrzewski jest oryginalny, tak jak lud będący przedmiotem jego studyów, niepodobny jest w zwyczajach i obyczajach do mieszkańców błotnistej Fryzji. Kostrzewskiego „Wesele“, „Odpust wiejski“, „Targ w miasteczku“, słowem wszystkie starannie obmyślane i wykończone prace, są to zupełnie oryginalne utwory, pełne prawdy, barwy miejscowej i humoru zawsze świeżego. Wszystkie one są charakterem niezmiernie do siebie podobne, mocno indywidualizmem artysty nacechowane, z jednej sfery życia i wyobrażeń zaczerpane, a jednak tchnące świeżością pomysłu, nowością spostrzeżeń. Mimo takiej obfitości natchnienia, takiej łatwości z jaką Kostrzewski coraz nowe produkuje prace, przyznać należy, że się nie powtarza. Maluje świat rzeczywisty, który poznał doskonale, a świat ten w istocie jest nieprzebrany dla tego, kto się raz czerpać z niego nauczył. Obecnie nadesłany na wystawę, dużych rozmiarów obraz „Targ w miasteczku“ jest, tak jak i „Odpust wiejski“, jednym z zebrań ludowych, do których oko nasze tak przywykło, że prawie nie spostrzegamy ich oryginalności; twarze przekupniów, przekupek, włóścian, ekonomów, mieszczan i mieszczek, szlachty większej i mniejszej, to dla ogółu popospolitości, na które niewarto zwracać uwagi, chyba ze stanowiska interesu, stosunku, ale bynajmniej nie ze stanowiska artystycznego. Wprawdzie kilku malarzy, poprzedników Kostrzewskiego, idąc za natchnieniem mody ludowej, więcej z Zachodu, zwróciło uwagę na tę kopalnię nietkniętą dotąd; ale po większej części te pierwsze próby chorowały na przesadę, sentymentalizm, lub karykaturę; realizm, ta wewnętrzna siła artyzmu, dziś dopiero w tym kierunku naszego malarstwa się objawia.

Jeżeli prawdziwa humorystyka w malarstwie nieczęsto się napotyka, to charakter naiwny, uczuciowy, niemniej jest trudny. Silne namiętności, uczucia gwałtowne, sytuacje dramatyczne, łatwiejsze są do wyrażenia pędzlem, niż wdzięk, naiwność, prostota. Löffler obdarzył nas już kilkoma utworami, które powszechne i sprawiedliwe obudziły zajęcie. Szczególniej z sytuacji dramatycznych dobrze się umiał wywiązać; jego „Powrót do wsi po napadzie Tatarów“ i „Powrót z niewoli“ słuszną i wielką zyskały popularność. Styl naiwny w „Mnichach kwestujących“ szczęśliwie utrzymany został, mimo pe-



wniej monotonności w koncepcji; „Kwiaty mówiące” były bardzo piękną próbą tego rodzaju; ostatnia jednak jego praca „Zaloty wiejskie” nie dochodzi wartości poprzednich: widoczny w niej brak studiowania natury. Postacie to urojone, a obrazek ma minę sielanki napisanej w gabinecie niemieckiego profesora.

Ze przedmioty z życia bieżącego wzięte, zwracają jednocześnie uwagę kilku malarzy, lub że wielkie postacie przeszłości budzą jednocześnie natchnienie artystów, to rzecz dość zwyczajna; rzadko jednak się zdarza takie spotkanie się na drobnym obrazku z przeszłości, jak Kossaka i Pillatego.

Jednego dnia prawie dostarczyli na Wystawę, pierwszy akwarelę: „Przejażdżka na polowanie, z czasów Stanisława Augusta,” a drugi olejny obrazek: „Kawalkada z XVIII wieku,” nadzwyczaj podobne do siebie pomysłem. W obrazie Pillatego młode towarzystwo, złożone z jednej damy i kilku kawalerów, w francuskich ówczesnych kostiumach, wyjeżdża z dziedzina dworku szlacheckiego. We drzwiach dworku przypatruje się odjeżdżającym jakiś poważny kontuszowiec; nadzieńcu stoi w gotowości do usług kilku Kozaków dworskich; dalej kilka wieśniaczych postaci; sfera chartów czeka niecierpliwie na dojeżdżacza. W obrazie Kossaka harcuje na polu młoda amazonka, obok niej jakiś młodzian, w mundurze kawalerskim, z umizgiem pokręca wąsami; dalej grupę uzupełniają kilku mężczyzn w francuskich trójkątnastych kapeluszach i jeden w kontuszu, Kozacy i charty. Z małą odmianą te same figury, które widzieliśmy wyjeżdżające z dworku przed chwilą. Kompozycja Pillatego jest obszerniejsza i pełna wdzięku. Kossaka odznacza się czystością rysunku i harmonią tonów.

„Sprzedaż koni” Pillatego nie wydaje się szczęśliwym pomysłem. Co ma na celu ten obrazek? etnografia, czy konie tureckie? czy wschodni krajobraz z promienistym niebem, przejrzystym powietrzem i świetnymi barwami? Próbnobyśmy tam tego wszystkiego szukali: imaginacja bardzo wiele stanowi, ale nie zastąpi nigdy tej podstawy, jaką daje rzeczywistość.

Kolorytem gorącym i pełnym harmonii jaśnieją dwa obrazy Millera, artysty, o którego powrocie z Włoch niedawno donosiły pisma peryodyczne. „Wieśniaczka włoska z dziećmi” jest starannym studium z natury, pojętym w czystym stylu, z poczuciem artystycznego piękna. „Św. Jan Chrzciciel” pełen energii i powagi; piękna jest głowa starca, słuchającego słów proroka, nacechowana uwagą i ukorzeniem się; okolica pustynna, skalista, dopełnia wrażenia. W ogóle jednak pędzi Millera jeszcze nie miały, więc ją ma miękkości niż siły.

Obok św. Jana Chrzciciela pędzi Millera, mamy „Św. Jana Ewangelistę” Kaczorowskiego. Obie te postacie są typowe w malarstwie: pierwsza jest wyobrażeniem męskiej siły, energii, gwałtownego natchnienia, druga słodczy młodzieńczej, prawie niewieściej, natchnienia łagodnego, ekstazy. Kaczorowski święty Jan namalowany jest odpowiednio do tej ustalonej typiki, z pewną biegłością techniczną, ale nieszczęściem i z przesadą. Wielkie, zachwytem nadziemskim rozszerzone źrenice, odpowiednie są dla idealnej postaci twórcy Apokalipsy; ale wszystko ma swoje miarę, którą przechodząc, daje się potwór, zamiast zachwyconego proroka.

Ponieważ wkroczyliśmy już w dział obrazów religijnych, przejdźmy je wszystkie po kolei. „Madonna” panny Z., jestto pracownice wykonana kopia z Karola Dolce, na tak niewdzięcznym materiale jak porcelana. Buchbinder, o którego utworach już wspominaliśmy w poprzednim sprawozdaniu (p. Nr. 386), pracuje z korzyścią i na polu religijnego malarstwa. Jego „Madonna,” obraz w dużych rozmiarach, ma wielkie zalety, pełen jest siły i powagi. Rysunek wprawdzie nie bez zarzutu, szczególnieji Dzieciątko Jezus, ale koloryt godny uznania.

(Dokończenie nastąpi)

## LISTY Z WYSTAWY PARYŻKIEJ.

### III.

Paryż, 5 maja 1867.

List mój dzisiejszy zaczynam od ogólnej uwagi, że z pięćdziesięciu z górą pism podających tu widoki

z wystawy, tylko Illustracya francuzka w 3ch pierwszych numerach mogła zająć uwagę czytelnika, i to takiego, który poprzednio zwiędził już niejednokrotnie samą wystawę; wszystko inne jest niedokładne, mylne, ubarwione płodną fantazją tutejszych rysowników.

W części pałacu zwaną „la Grande rue de Russie,” utworzonej z zewnętrznych stron wystawy rosyjskiej i włoskiej, w obszernym, wspólnym obu państwom przedsionku, mieszczą się utwory sztuki plastycznej. W głębi na lewo stoi statua dłuta Brodzkiego z białego marmuru, przedstawiająca „Pierwsze podszępy miłości.” Kształtna, zbyt może gwałtownie przechylona postać niewieścia, skłania głowę ku stojącemu obok amorkowi. Nazwisko i prace Brodzkiego figurują kilkakrotnie w katalogu wystawy. Pomiędzy innymi utworami tego artysty zwraca uwagę piękny bardzo komin z marmuru siniego, zdobny festonami i girlandami z białego marmuru. Gustowne połączenie dwóch różnobarwnych a zgodnych gatunków kamienia mile wpada w oko; rysunek całości jest poprawny, zaokrąglenia miękkie, szczegóły troskliwie wykończone. Jeden tylko zrobiłbym artyście zarzut: uwieńczenie szczytu zegarowym cyferblatem. Dwa nadobne amorki, podtrzymujące wieniec z kwiatów okalających fajansowy talerzyk, dziwnie jakoś wyglądają; dobry smak żąda tu czego innego. Mniemam że emblematyczna tarcza byłaby właściwszą. W oddziale sztuk pięknych państwa kościelnego, znajdujemy dłuta Brodzkiego Chrystusa, Ucieczkę z Pompei i Amora. Obok, przy wnijsciu już w ulicę, umieszczono piękną grupę Kozłowskiego: Matka z dziećmi na ręku. Na stronie przeciwniej, należącej do oddziału włoskiego, widziemy wielką figurę Zbawiciela, opodal zaś najpiękniejszy z posągów współczesnych, zaszczyt włoskiego rzeźbiarstwa „Ostatnie dni Napoleona I,” arcydzieło Veli, nabyte przed kilkoma dniami za 80,000 fr. przez rząd francuzki. Cesarz przedstawiony jest w postaci siedzącej; rysy twarzy, napiętnowanej cierpieniem fizycznym i rezygnacją, uderzają jednak podobieństwem. Cień śmierci rysuje się w dolnej części oblicza i w skroniach, do których jakby zwilżone przyległy włosy. Wzrok skierowany na złożoną na kolanach mapę, zdradza myśl potężną, w dalekich między niebem i ziemią szybującą przestworach. Całość nakazuje poszanowanie i przykuwa do siebie widza. Z tysiącznych posągów i wizerunków cesarza, żaden nie tchnął taką potęgą rozumu i prawdą, jak ten o którym wam mówię. Pomijam już inne szczegóły, jak miękkość puchowego wezwłowania, dziwne a wzbudzające współczucie wychudnięcie rąk i piersi, lekkość niedbale rzuconej bielizny. Tłum widzów otacza bezustanku ten posąg, a kto raz go widział, nigdy go już nie zapomni. Nie jestto jednak jedyne znakomite dzieło włoskiego dłuta; począwszy od śpiącej na przodzie niewiasty, aż ku końcowi galeryi, rozłożył się cały zastęp figur pojedynczych i grup różnokształtnych; na prawo wszędzie marmury, wszędzie posągi, duże i małe, białe i czarne, a każdy mniej więcej piękny. Wszystkie razem wzięte narody nie wyrównają ani w ilości, ani w doskonałości sztuce plastycznej włoskiej na obecnej wystawie. Odrodzony z swych popiołów feniks włoski błyszczący dziś równie świetnymi jak niegdyś barwami; kilkanaście lat pokoju, więcej nauki, pracy i wewnętrznego ład, a sadząc z tego co jest, wielką wróżyć można przyszłość.

Powracam na lewo. Po za drewnianym szalowaniem, ciągnąc się jak daleko sięgnąć może oko, mieszczą się płody natury, sztuki i przemysłu cesarstwa, rozklasyfikowane podług grup i oddziałów przyjętych za podstawę w układzie wystawowym każdego państwa. Grup takich jest w ogóle 10, podzielonych znowu na 95 klas. Do grupy I (klasy 5) należą dzieła sztuki, o których już wam wspominałem; dodać tylko jeszcze winienem, że oprócz „Opłakanego apostoła” Gersona, oprócz Simmlera, którego Barbara, jak słyhać, otrzymała ma medal srebrny, Kossaka i Brodzkiego, znajdujemy tu jeszcze pędzi naszych artystów następujące utwory: Horawskiego piękny bardzo portret włosianki z za Niemna, Przepiórskiego wnętrze galeryi Apolina w Luwrze, Suchodolskiego Piotra krajobraz przedstawiający wioskę w gubernii kałużskiej i Wandę Lesserę. Litografie Walkiewicz, Śmierć Barbary, Bitwa pod Beresteczkiem oraz Wit Stwosch, należą do 5ej klasy 1ej grupy. W ogóle na wystawie mało

jest litografij, zażyły je fotografia i drzeworytnictwo, a mówiąc między nami, niema w tym nic złego. Przy tak wysoko posunięciem jak dzisiejsze drzeworytnictwo i doskonałości fotograficznej, litografia ostać się nie może ani powinna; pojmuję ją w zastosowaniu do biletów wizytowych, zaproszeń weselnych, pogrzebowych i innych radosnych lub smutnych okoliczności, pojmuję na etykietach aptekarskich i butelkowych, ale w sztuce prawdziwej niema dla niej dziś miejsca i szkoda pracy rysownika na tego rodzaju płody, wdzierające się pretensjonalnie na miejsce sztychów. Ostatni jej wyraz, chromolitografia, nęci przynajmniej oko i bawi bogactwem barw; w nauce też, jako prawdziwe odwzorowanie rzadkich lub trudnych do nabycia przedmiotów, np. okazów botanicznych, anatomicznych lub archeologicznych, wielką ma wartość i zasługę; ale litografowane obrazy niestrawne są i niemiłe dla prawdziwie artystycznego poczucia. Boże ucho, abym chciał przez to czynić ujme pp. Fajansowi, Walkiewiczowi, Dzwonkowskiemu, Herknerowi i innym tej pseudo-sztuki reprezentantom; daleką odemnie myśl podobna. Owszem, w poprzedniej korespondencji oddawałem wszelką sprawiedliwość chromolitografii Fajansa, jak dziś oddaję pracom Walkiewicza; ale mówię tu w ogóle o litografii. Zresztą jestto moje osobiste zdanie, zaściankowa polityka, która na postęp i rozwój tej gałęzi krajowego przemysłu żadnego wpływu mieć nie będzie.

Wspomniałem wam wyżej o zastosowaniu chromolitografii do anatomii, pozwólcie więc że z tej na inną przejdę wystawę. Od dwóch tygodni dzienniki francuzkie wspominają z największymi pochwałami o nowym odkryciu, któremu w zastosowaniu do sztuki lekarskiej wielką wróżą nie przyszłość, ale teraźniejszość, ponieważ jest już wprowadzoną w użycie. Wiadomość ta nie byłaby może ściągła moją uwagę, gdyby nie okoliczność że wynalazcą jest ziomek nasz, dr. Laskowski. Korzystając z udzielonego mi pozwolenia i sąsiedztwa, pracownia bowiem p. L. znajduje się w amfiteatrze tutejszej szkoły lekarskiej, zwiędziłem ją kilkakrotnie. Rzecz się ma tedy jak następuje. Dr. Laskowski od lat kilku poświęca się tutaj studiom anatomicznym, a czując wielkie nieprzyjemności i niebezpieczeństwa towarzyszące dysekcjom, zwrócił usiłowania swoje ku wynalezieniu sposobu zachowania od zepsucia ciał dysekowanych, oraz preparatów anatomicznych i patologicznych, a zatem uchronienia od niebezpiecznych skażeń. Jakoż przy współudziale lekarza tutejszego dra Brissaud, usiłowania te najpomyślniejszy osiągnęły skutek. Nie znam się wcale na balsamowaniu ciał, nie wiem zatem który ze znanych dotąd sposobów, Ganala, Sucqueta, lub Marioniego jest lepszy; to tylko wiem od specjalistów, że one wszystkie pod względem naukowym wiele pozostawiają do życzenia, odejmując preparatom najważniejsze ich przymioty, to jest objętość, miękkość, właściwą barwę tkanek i wzajemne stosunki składowych organów. Otóż preparaty przyrządzone według przepisu pp. Laskowskiego i Brissaud, po kilku nawet miesiącach zachowują całą świeżość. Okazy umieszczone w jesieni w muzeum Orfila wyglądają jak dzisiejsze; mózg, płuca, śledziona, serce i t. p. drobiazgi, które złożone razem formują człowieka, są jaknajwyborniej dotąd utrzymane i świat uczony lekarski wprowadzają w zachwycenie.

Preparaty pp. Laskowskiego i Brissaud miały być umieszczone na wystawie, lecz komisja cesarska nie zgodziła się na to, z powodu że świeżość ich, niezmiernie ważna dla specjalistów, mogłaby jednak obudzić wstępną w zwykłej publice, chociaż widok obrzydliwych okazów anatomicznych dra Auzoux, lub tarcze herbowe Prus, ułożone z zębów ludzkich, nie wiem czy sztucznych, czy naturalnych, równie są odrażające.

Wybaczą mi pobłażliwi czytelnicy to chwilowe zboczenie, po którym poprowadzę ich do grupy II (klasa 6—13) zawiązującej sztuki wyzwolone, spośród których znajduje się i kalendarz Jaworskiego na rok 1867. Nie widziałem go zblizka, gdyż zamknięty jest hermetycznie pod kluczem, domyślam się tylko z okładki, że równie troskliwie jak poprzednicy jego wydany. Dalej idą czcionki i matryce stereotypowe z drukarni Orgelbranda, zalecające się czystością i starannym wykończeniem. W tejże samej grupie mieści się papier różnobarwny i różnorodny z fabryki Epsteina (w Soczewce); miano-



wicie tak zwany papier bez końca jest nadzwyczaj równy i czysty. Dalej jeszcze fotografie *Brandla*, *Mieczkowskiego*, *Fajansa*, fortepiany *Kralła* i *Sejdlera*, oraz *Maleckiego* i *Schrödera* i instrumenta dęte *Wernitza*. Dwie ostatnie pozycje, jak wszystko co z tych zaszczytnie znanych zakładów wychodzi, godne ze wszech miar pochwały, ale zabójcze dla niewinnych przechodniów. Książki zamknięte na klucz, lecz fortepiany i trąby stoją otworem, a trąb tu, jak wszędzie, bez liku, fortepianistów i fortepianistek legiony; każdy dmie, brzęczy, świszcze, obojętny na cierpienia ludzkości. Teraz dopiero pojmuje chorobę zwaną *melofobią*, teraz rozumiem dlaczego policyanci tutejsi poczytują sobie za karę dwugodzinną służbę w pałacu wystawy i jestem przekonany że jeśli opiekuńcza władza nie położy tamy podobnemu rozpasaniu artystów muzycznych i młodszych a nieodrodnich ich braci amatorów, publika sama będzie musiała położyć kres tym instrumentalnym orgiom.

Jak wrażenia te muszą być silne a nieprzyjemne, dość powiedzieć, że na samo ich wspomnienie tracę wątek myśli, nie wiem już o czym wam mówić chciałem i dalsze szczegóły do następnej odłożyć muszę korespondencyi, prosząc o wybaczenie, jeżeli w dzisiejszej panuje pewien nieład.

Michał Szymanowski.

## ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Powieść

Waleryi Morzkowskiej.

(Dalszy ciąg).

Kobieta słuchała jej z pobłażliwym uśmiechem, gdy wymawiała te żalobne słowa cichym, wyrażnym, spokojnym głosem, jak gdyby obrazy wspomniane przesuwaly się przed jej okiem. Znać przywykła do marzeń, których zrozumieć nie mogła.

— Może, spytała po chwili z pewną niecierpliwością, widząc ją ciągle zamyśloną, może chcesz kiedy przyjechać tutaj przy świetle księżyca?

— O nie, odparła Idalia z mimowolnym dreszczem; wiesz jak lękam się umarłych. Przy księżycu tu straszno być musi. Słońce nie przeszkadza marzeniom moim; wszak przeszłość tutaj słoneczną była.

— Ale teraz spieszyć nam się potrzeba, mówiła starsza kobieta, tłumiąc ziewanie i spoglądając na zegarek. Wiesz że hrabia Herakliusz wyjeżdża dzisiaj, trzeba nam go pożegnać.

Na te słowa cień przesunął się po gładkiem czole Idalii.

— Prawda, masz słusność, szepnęła, zapomniałam się tutaj.

I z wolna, niechętnie szła za towarzyszką, jakby lepiej jej było pośród tych ruin, ze wspomnieniami umarłych, niż w rzeczywistym świecie, pomiędzy ludźmi. Miała już wejść pod ciemne sklepienie bramy i zniknąć z przed zachwyconych oczów moich, ale zatrzymała się raz jeszcze u wejścia i smutnym wzrokiem potoczyła wkoło. Sklepienie pod którym stała porosłe było zielskiem i bluszczem, a pośród nich, przyniesiona przez burze lub ptaki, strzelała w górę łodyga białej lilii, z koroną śnieżnych, wonnych kwiatów. Wzrok jej padł na tę lilię, wyciągnęła ku niej ręce ruchem pełnym dziecięcego pragnienia i wspięła się na drobne paluszki, daremnie sięgając po nią. Lilia kołysała się wysoko nad jej głową.

Wówczas ją wysunął się z cienia, jednym skokiem wdrapałem się na szczyt sklepienia i nie śmiałem podać jej kwiatu, tylko nachyliłem tak jego łodygę, by sama zerwać go mogła. Czy nasze się zbiegły; nie było w jej spojrzeniu zdziwienia, nie strwożyła się nagle zjawieniem się mojem, tylko patrzyła na mnie rozmarzonym wzrokiem, jak gdybym był jednym z tych rycerzy, których widma wywoływała w pamięci, a ja czułem że wzrok ten sięgał mi aż do głębi piersi i tam wpijał się w serce, czułem że krew biegała mi z twarzy pod jej spojrzeniem, i po raz pierwszy w życiu drżałem jak liść, szukałem oparcia.

A ona rzekła do mnie po krótkiej chwili, zrywając lilię i jakby budząc się do rzeczywistości:

— Dziękuję panu, dziękuję.

Twarz jej biała oblała się lekkim rumieńcem. Odeszła; widziałem tylko zdaleka, jak wsiadła wraz z towarzyszką do lekkiego powozu, poważna, zadumana i lilią trzymała w ręku.

Odeszła, a ja spojrzałem dokoła, przerażony pustką jaką uczułem przy sobie i w sobie. Ona zabierała serce i myśl moją. Stałem osłupiały na miejscu w którym ją ujrzalem, w którym usłyszałem jej głos, jej słowa, i nie mogłem zrozumieć, by tak jedna chwila zmieniła zasadnicze warunki mego bytu i mogła o całej stanowić przyszłości. Po jej zniknięciu miejsce to wydało mi się pustynią.

Wyszedłem szybko z pomiędzy zwalisk i skoczyłem na konia, sądząc że opuszczeniem tego starego zamku, gdzie ją zobaczyłem, wyłamie się z pod jej czaru. Ale daremnie, postać jej płynęła przedemną w powietrzu, lśniła w słonecznych promieniach, odbijała się w wodach strumieni; a zawsze unosiła się nademną, niedostępną jak gwiazda, którą widzieć tylko można, ale nigdy pochwycić.

Pod tym wrażeniem powróciłem do Henryka. Nudził mnie gwar jego domu, a rozerwać nie mogłem. Idalia pozostała myślą moją, a pragnienie widzenia jej znowu, dochodziło we mnie do miary szaleństwa.

Pamiętałem najdrobniejsze szczegóły jej zjawienia się, jej rozmowy, jej stroju nawet, a zestawiając wszystko, rozumiałem że gdzieś niedaleko zamieszkiwać musi. Powóz do którego siadła, był to lekki rodzaj amerykanki; towarzyszką jej wspominała że ktoś odjeżdżał i chciał ją pożegnać, projektowała drugi spacer do tych ruin; widocznie więc ona pozostawała tutaj, gdzieś pośród tej górskiej okolicy. Ta myśl zbliżyła mnie do towarzyszy, oni musieli znać ją, wiedzieć przynajmniej kto była, i wkrótce dobadalem się wszystkiego co wiedzieli, co wiedzieć mogli.

Idalia, księżniczka Idalia, należy do jednej z najpierwszych rodzin, jest dziedziczką ogromnego majątku. Sięrota, ojca straciła w pierwszych latach dzieciństwa, matkę przed kilku miesiącami. Teraz zamieszkuje na czas jakiś majątek położony o milę zaledwie od miejsca gdzie się znajduje, wraz z osobą którą wychowywała ją od dziecka i którą matka testamentem zostawiła przy niej, jako zaufaną swą przyjaciółkę. Mówiono o księżniczce, jak o bardzo szczęśliwej istocie; miała młodość, piękność, dostatki, znaczenie. Dla mnie ona była tylko Idalią. Prawda, położenie towarzyskie stawia ją wyżej odemnie, ta myśl przejmuję mnie zimnym dreszczem; ale czyż podobne względy stanąć mogą pomiędzy mną a nią? Czyż wiedziałem kto była ona, gdy po raz pierwszy zbiegły się nasze oczy? Czyż nie wyczytała w moim zbladłym licu tej miłości wybuchającej od pierwszego wejrzenia? Czyż jej czyste serce zaznać może podejrzenia, wątpliwość? Wszak Idalia jest sięrotą, moralnie zależną tylko od samę siebie. Mam w piersi tak wielkie uczucie, że ona będzie musiała uwierzyć w nie przynajmniej, jeśli go nie podzieli. Jedno jej serce może odrzucić serce moje. Pomiedzy nami jedyną przeszkodą może być to, że ona odwróci się odemnie z litością anioła, patrzącego na nędzę ziemskie. Ale nie, to być nie może! Czyż odrazu nie rozumiałem jej, nie ukorzyłem ducha jak przed świętą? Czyż inny człowiek tak jak ja kochać ją zdoła? Mogę mieć wiele wad i niedoskonałości, ale wiem że znajdzie we mnie prawosć i poświęcenie bez granic. Od dziś dnia jedyną myślą moją jest szukać sposobności zbliżenia się do niej, jedyną nadzieją zdobycie jej miłości, jedynym celem życia, ona!...

Do zobaczenia, Albino, kiedy? jak? nie wiem do prawdy. Nowa faza ducha otwiera się przedemną; serce moje, omglone, zawiedzione tyle razy, teraz godnym siebie odzywa się biciem, i obmyte czystym uczuciem, z nową siłą wytrwania gotowe jest przyjąć walkę życia. Do zobaczenia raz jeszcze i niech ci Bóg zsyła zachwyty moim podobne. Kończę mój długi list tym życzeniem.

### LIST III.

Albina do Edwarda.

List twój nie zadziwił mnie wcale, bo znam ciebie nie od dzisiaj, znam rzutność i porywczosć natury twojej, wiem że ile razy opanuje cię myśl jaka, poświęcasz jej wszystko, ze ślepym zapomnieniem

namiętności. Nie pierwszy to raz celem jedynym życia twego była ona. Widziałam cię w chwilach podobnych i podziwiałam, tak jest, podziwiałam. Uczucie każde podnosi cię, przetwarza na starożytnego półboga. Ja wierzę iż ktokolwiek jest ona, oprzeć ci się nie potrafi; posiadasz narzucającą się władzę, mógłbyś świat zwyciężyć, gdybyś zapragnął. Ja wiem że nie śmiałabym stanąć na drodze twojej. Porwany huraganem namiętności, stajesz się strasznym jak szalencie który przestaje pojmować granice możliwości.

Ileż razy widziałam cię w chwilach podobnych. Ale czy cel wart był kiedy zachodów twoich? Czy był kiedy stosunek pomiędzy siłą pragnień twoich, a tem coś zdobywał? Natura twoja jest bogatą i rozrzuconą w miarę bogactwa swego; szafujesz sercem, bo ci go nigdy nie zbrakło. Ludzie powiedzieć mogą o tobie, że wiodłeś życie szalone. Ja wiem że nie wyobraźnia lub zmysły rządziły tobą, że zawsze wśród fałszywych uczuć, wśród malowanych lic, wśród wytartych, kłamanych uśmiechów, stawałeś do gry życia z prawdą na ustach, z miłością w sercu i w zamian za licznym, płaciłeś czystym złotem, zbyt szczodry by go skąpić, zbyt dumny by udawać. Ale gdyś przejrzał w sercach i myślach otaczających cię ludzi, odwracałeś oczy ze wstętem i bólem i zwracając się do mnie, płakałeś krwawymi łzami za wodą.

Kto inny byłby zmarnował się i przeżył podobnym życiem, kto inny byłby zubożał duchem; ty wychodziłeś z tych chwil próby i zwątpienia niezachwiany, silniejszy jeszcze do zapasów z losem; z atmosfery brudu wynosiłeś czyste serce i nieskalaną młodzieńczą wiarę, a dla zdradzających cię miałeś tylko uśmiech litości. Takim znalazłem cię zawsze, Edwardzie, i nieraz kładłam rękę na piersi twojej i próbowałam czy bicia jej nie osłabły. Piers twoja była silną, niewyczerpaną, za każdym razem uderzała jednak.

Takim byłeś dotąd, Edwardzie, i nieraz spoglądałam na ciebie trwożna i dumna razem. Ostatnie lata nie odmieniły cię, jak widzę.

Dziś znowu list twój brzmi nutą zapału i miłości, znowu serce twoje, nie znające, nie cierpiące próżni, z całą siłą uczucia zwraca się do kobiety. Nakreśliłeś o niej słów kilka, ale z właściwą sobie bystrością nakreśliłeś je po mistrzowsku; widzę ją niedłwie i rozumiem. Idalia to anioł. Anioł, rzadkie to wprawdzie zjawisko w dzisiejszym świecie i trzeba może szukać aż wśród gór zapadłych ostatniego potomka tej rasy średniowiecznej; ale stawiam tutaj pytanie, czy anioł stworzony jest do rzeczywistego życia? czy może uszczęśliwić człowieka, w zamian być szczęśliwym i zadość uczynić warunkom bytu? Co do mnie, wyznaję w pokorze ducha, iż lękam się podobnych istot. Chciałabym wprawdzie widzieć tę dziewczynę, w białej szacie spływającą po gruzach ze szczytu starej baszty, jak sybilla wypowiadającą marzenia swoje, ale tylko jako piękny obraz i nie więcej. Omijałabym zawsze Idalię z daleka i nie chciałabym drogi mojej krzyżować z jej drogą, a pokochać ją lękałabym się, jak istotę odmienną natury, która z człowiekiem z krwi i ciała nie ma nic wspólnego, która nie może zrozumieć potrzeb, żądać i uczuć jego, ani wzajem być zrozumianą.

Wiem że słowa moje próżnemi zostaną. Należysz do ludzi którzy nie cofają się nigdy przed cierpieniem, których pociąga niebezpieczeństwo i walka. Wiem że kobieta którą kochasz, staje się dla ciebie zawsze typem doskonałości, do której ogół stosować się powinien. Wiem o tem, a jednakże to piszę, bo wołałabym już widzieć serce twoje w rękach owej czarnoookiej Heleny, niż tej istoty z mgły i słońca.

Nie wiem jakie dalej prowadzić cię będą losy, gdzie cię zaniosą burze uczuć, ale chciałabym zobaczyć cię znowu i widzieć wolnym od tej namiętności budzącej się zaledwie, którą może rozwiało już drugie spotkanie się z tą kobietą i która w trwożnych oczach moich przesadzonych nabiera rozmiarów.

### LIST IV.

Edward do Albiny.

Nie, ty nie myliłaś się, Albino, nie przesadzałaś miary budzącej się namiętności. Od owej chwili



dnie i miesiące mignęły jak błyskawica, a ja kocham, jak pewno dotąd nie kochałem w życiu. I uśmiechnij się z trwogi twojej, uśmiechnij się ze złych przeczuć, bo chociaż nie wyrzekły tego jej usta, ja czuję że nawzajem kochanym jestem. W kilka dni po ujrzeniu Idalii, wynalazłem sposoby byność być jej przedstawionym. Jak się to stało, nie pytaj mnie: byłem w stanie poruszyć niebo i ziemię, byle dostać się do niej. Skrzypce, muzyka, posłuszność mi tutaj; ona sama śpiewa, musieliśmy więc zbliżyć się i porozumieć w harmonijnych sferach dźwięku. I wkrótce, pomimo samotności w której postanowiła przebyć czas żaloby i której szukała w tém ustronnym w górach mieszkaniu, stałem się częstym gościem w jej domu. Towarzyszką jej jest cudzoziemka, pani du Barlette, która ją wychowała i której umierająca matka zostawiła niejako moralną opiekę nad sierotą.

Pałacyk który zamieszkała w Maniowie, rodzaj myśliwskiego pawilonu, urządzony został naprędce do zimowego mieszkania, bo dotąd tylko zbierały się tu kiedy niekiedy huczne polowania.

Naprzeciwko Maniowa wznosi się wioska na drugiej górze, a skromny dworzec patrzy się oknami w okna pałacu; ogrody rozdzielone są tylko stromym wąwozem. Kupiłem tę wieś, zapłaciłem co chcieli, byle natychmiast wejść w jej posiadanie. Z Krakowa sprowadziłem wszystko co mi do przepędzenia zimy potrzebnym być mogło, skrzypce moje, nuty i książki.

Parę jesiennych i zimowych miesięcy zbiegło nam w tej zapadłej stronie, jak sen rajski jednej nocy letniej. Nie dojrzelismy nawet zawiei, śnieżnych huraganów, nie poculi grozy tej strasznej pory. W sercach naszych kwitła wiosna szczęścia, i głosy nadziei śpiewały nam w myśli skowronczane hymny.

Teraz z domu mego piszę do ciebie, patrząc na światła bijące z jej pałacu, z którego wyszedłem przed chwilą. W powietrzu zdaje się drżeć jeszcze srebrna nuta jej piosenki. Piszę do ciebie rozmarzony, szczęśliwy, bo nie umiem nawet wyrazić jak niezmiernie szczęśliwy jestem. Bóg opatrzył mnie hojnie siłą cierpienia, ale i siłą użycia; nie szemrałem w chwilach bólu, a dzisiaj błogosławię go za dar ten, błogosławię każdemu tchnieniem, każdemu uderzeniem serca, bo słowa nie oddadzą uczuć moich.

I gdyby nawet wokoło nas jeżyły się niepodobieństwa, gdyby świat cały stanął pomiędzy nami, gdyby obecna chwila i obecna miłość okupić trzeba śmiercią, męczarnią, jeszcze nazwałbym się szczęśliwym, że mi ją zaznać daném było.

Ale dzisiaj droga życia otwiera się przed nami łatwa, bez przeszkód, nieledwie codzienna. Wiem zawczasu, że jej rodzina, opiekun, wmieszają się pomiędzy nas, że spotkam drobne trudności, zawady, ale wiem także iż jej miłość pomoże mi je zwalczyć, bez niepokoju, bez palącej troski.

Ona odgadła mnie odrazu, może od owej chwili gdy pośród ruin nachylił ku niej białą lilią, czystą jak miłość moja i wraz z nią oddałem serce moje w jej ręce.

Od tej chwili życie stało mi się pasmem ciągłych zachwytów; dzień każdy przynosił mi nowe szczęście; codzień z nową rozkoszą wchodziłem w jej progi i widziałem jak myśl jej i serce od krainy duchów, od grobów umarłych, z wolna nachylały się ku mnie, jak jej źrenice coraz częściej odrywały się od nieba i zatrzymywały na mnie, jak uśmiech mój rozjaśniał jej lice, chmura mego czoła rzucała na nią cień smutku. A jednak milczałem. I cóżby mi dało więcej to słowo *kocham*, zamienione między nami? Słyszałem je tyle razy na ustach kobiet bez serca, ja sam sprofanowałem je już w życiu. Świat i ludzie tak zbrudzili znaczenie tego świętego słowa, że nie śmiało go wymówić ni żądać. A potem, miałabym ona prawo wymówić je tak sama, nie oglądając się na nikogo? Bądź jak bądź, pomiędzy myślą, uczuciem a słowem zachodzi różnica, której żadne sofizmaty zatrzeć nie zdołają. Nie wahałem się zdobyć jej miłość, zdobywając ją czułem się w prawie mojem; ale zastanowiłem się przed wyznaniem.

Milczałem więc i milczę, choć nieraz tracę rozagę, pamięć i zmysły. Ta kobieta jest tak inną od reszty ludzi, tak o całe niebo wyższą nademnie,

że lękam się ją obrazić i skalać spojrzeniem samém, i pod jej promiennym wzrokiem opuszczam płonące oczy jak winowajca, a przecież miłość moja grzechem nie jest.

Zwolna zaparłem się samego siebie, pokochałem co ona kocha, polubiłem co lubi, oddycham jej tchnieniem i żyję jej życiem, a w duszy mojej stało się święto jak w kościele, bo ona jasnym duchem swoim porwała mnie w jakieś niedostępne sfery poezji i zachwytu.

Jedyną rzeczywistością życia jest dla mnie ta miłość, a powszednie warunki zdają mi się snem tylko, snem przykrym.

Nie pytaj mnie dziś o nic więcej. Zapewne przyjdzie czas, w którym konieczne z obłoków trzeba mi będzie zstąpić na ziemię i spotkać się z rzeczywistością; wówczas czuję że jej podołam. Przyjdzie dzień w którym mnie samemu obecność jej starczy przestanie, gdy zwyczajnym biegiem namiętności żądać będę więcej i więcej. Dzisiaj wiem to jedno, że kocham; myśl moja odwraca się od przyszłości i tonie w rozkoszy obecnej chwili. Dziś jestem szczęśliwy i obwiany jakby skrzydłami anioła, zapominam o ziemskim świecie, o pragnieniach i żądach jego.

Albino, jestem szczęśliwy! Cóż więcej napisać ci mogę?

(Dalszy ciąg nastąpi)

### Płacz sieroty.

Żle dziecinie w kołysce rzeźbionej,  
Żle na puchu i miękkim atłasie;  
Na twarzyczce smutkiem ocienionej  
Bładość miejsce zajęła po krasie  
I zwarzyła usteczkom korale,  
Jak lilijkę rozkwitła w upale.

Żle dziecinie — rączkami drobnymi  
Precz odpycha niewiasty służebne  
I ucieka, ucieka od ziemi,  
Ponad chmury, na szlaki podniebne,  
I marzy, łezkami zalana:  
„Gdzie, gdzie moja matka ukochana?”

Och! prowadźcie, prowadźcie mnie do niej,  
Tam, gdzie takie jaśnieją promienie!  
Ona z tchnieniem matczynym z mój skroni  
Zwieje czarne doli mojej cienie  
I przytuli sierotę do łona  
Moja matka, mateczka ma rodzona!

Och prowadźcie, prowadźcie wysoko,  
Tam gdzie wiecznie wiosna się zieleni!  
Bo w ciemnościach tonie moje oko  
Bez świetlanych oczu jej promieni,  
Bo bez ciepła serca matki, ciała  
Wskróś lodowe zimno mi przewiało.“

I załkała w kołysce dziecina,  
Bojącą łkaniem tak załkała,  
Że aż w niebie zbladła twarz matczyna  
I źrenica łzami się zalała,  
A stróż-anioł dzieciny na ziemi  
Jasne lica łzami zlał rzewnemi.

Na niebiosach twarz matczyna zbladła,  
Anioł łzami przyjął płacz sieroty,  
Lecz służebna sercem nie odgadła  
Łkania dziecka, ni jego tęsknoty,  
I, by dziecię spłakane uspiła,  
Senną mu piosenkę zanuciła.

Adam Maszewski.

### Przegląd teatralny.

Teatr Rozmaitości. — Po dwóch latach, komedia w jednym akcie Mérego.

Świeżo zmarły utalentowany i wielce lubiony autor francuzki Méry napisał szereg drobnych sztuczek jedno albo najwięcej dwuaktowych, które wydał w dwóch oddzielnych tomach pod tytułem *Théâtre de Salon*. Są to po większej części improwizacje i po-

siadają wszystkie przymioty i wady utworów tego rodzaju. Główny ich przymiot leży w rozmowie świetnej, iskrzącej dowcipnemi półsłówkami, umiejętną frazeologią, tak że słuchacz wychodzi nieraz z teatru olśniony, zadając sam sobie pytanie, jakim sposobem do takiej drobnostki można było przyczepić tyle efektów konwersacyjnych.

Niestety! te przymioty, właściwe językowi francuzkiemu, nikną po większej części w przekładzie, bo tak być musi; żadna bowiem mowa nie jest tak wyrobiona do tego rodzaju efektów, jak ta którą Méry pisał. Pozostaje jednak dla artystów gra, której doświadczony ów sceniczny zapasnik potrafił szerokie oznaczyć pole, i zdolni artyści każdą jego komedijkę mogą bardzo zajmującą uczynić, nadaje się ona bowiem ku temu.

Tytuł *Po dwóch latach*, stosuje się do księżny de Valbreuse, która utraciwszy w wyprawie krymskiej męża, oficera wojsk francuzkich, opłakuje tę stratę w wiejskim ustroniu. Hrabia de Morange, towarzysz broni zmarłego księcia, który dostawszy się raniony do niewoli, z przyczyn zdrowia musiał przez te długie dwadzieścia cztery miesiące odbywać podróż po dalekim Wschodzie, wraca do Francji, wioząc dla księżny jej miniaturę, daną mu przez padającego pod śmiertelnym ciosem księcia de Valbreuse. Ale podróż była daleka, miniatura piękna, a list niezapieczętowany; hrabia więc miał wiele czasu wpatrywać się w te zachwycające rysy, ogniste niebo Wschodu wyhodowało tę świeżo narodzoną w sercu miłość, której żadna piękność z Teheranu ani Madrasu na drodze nie stanęła. Wraz z miniaturą, w ręce hrabiego dostał się poszyt myśli, każdodziennie przez księcia dorywczo rzucanych na papier, w których charakter jego, usposobienie, stosunki z żoną i sposób myślenia tej ostatniej najdokładniej się malują. Uzbrojony w broń tak srode zaczepną, hrabia rozpoczyna obleżenie, i cóż wam powiem: w przeciągu niespełna godziny młodość i wdzięk odzyskują swoje prawa, a zmarły książę znajduje zastępcę w szczęśliwym posiadaczu miniatury. A nie dziwcie się bardzo temu, czy bowiem dwudziestokilko-letniej, pięknej, dowcipnej, bogatej i przywykłej jasno na świat patrzeć księżny, nie do płaczu tylko stworzone, hrabia zaś zręczny, doświadczony w zapasach tego rodzaju i umie wybornie bronić swojej sławy.

Pani Rakiewiczowa i pan Świeszewski odegrali tę drobnostkę zręcznie, dowcipnie, salonowo, jak tego utworu Mérego konieczne wymaga. Budoar księżny wybornie zapełniony jest tymi dwoma interlokutorami, idącymi o lepsze w subtelnych zapasach konwersacyjnych; każdy odcień dobrze pojęty i umiejętnie zachowany, a wszystko idzie tak żywo i zajmująco, że aż miło słuchać. Czyby jednak pan Świeszewski, powtarzając wykradzione myśli księcia, nie powinien ich wyraźniej trochę uwydatnić jako rzecz przybraną i nie swoje zostawiając to zdolnemu temu artyście do rozstrzygnięcia.

Wacław Szymanowski.

### KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Panom K. B. i A. A. w Warszawie. Dość gładkim wierszykiem p. t. „Anioł stróż,” „Do młodej panienki,” „Tylko moja bądź” i t. d. niewiele więcej zarzucić można, prócz braku prawdziwej poezji, której szermierką słów, chociażby najzręczniejszą powiązanych, nigdy zastąpić nie zdoła.

Panu Maksymilianowi w Warszawie. Obraz starca dumającego o dniach swjej młodości, nie jest bez wdzięku i uczucia; forma jednak zbyt słaba nie pozwala na wydrukowanie pańskiego utworu.

### HISTORIA RZYMSKA MOMMSENA.

Zeszyt 6ty wyszedł z druku, zeszyt 7my wyjdzie 20 maja r. b. przy odbiorze którego przypada 3ta rata opłaty prenumeracyjnej, to jest rs. 1.

Całe dzieło składać się będzie z 4 tomów, czyli zeszytów 36.—Cena rsr. 8.—Prenumerata przyjmuje się po rsr. 1.

Pragnący na prowincyi mieć to dzieło, przysłać raczą pod adresem wydawcy rsr. 4, oraz przy odbiorze zeszytu 12go drugie rsr. 4, a egzemplarze będą sobie mieli przesłane franco.

Józef Unger.